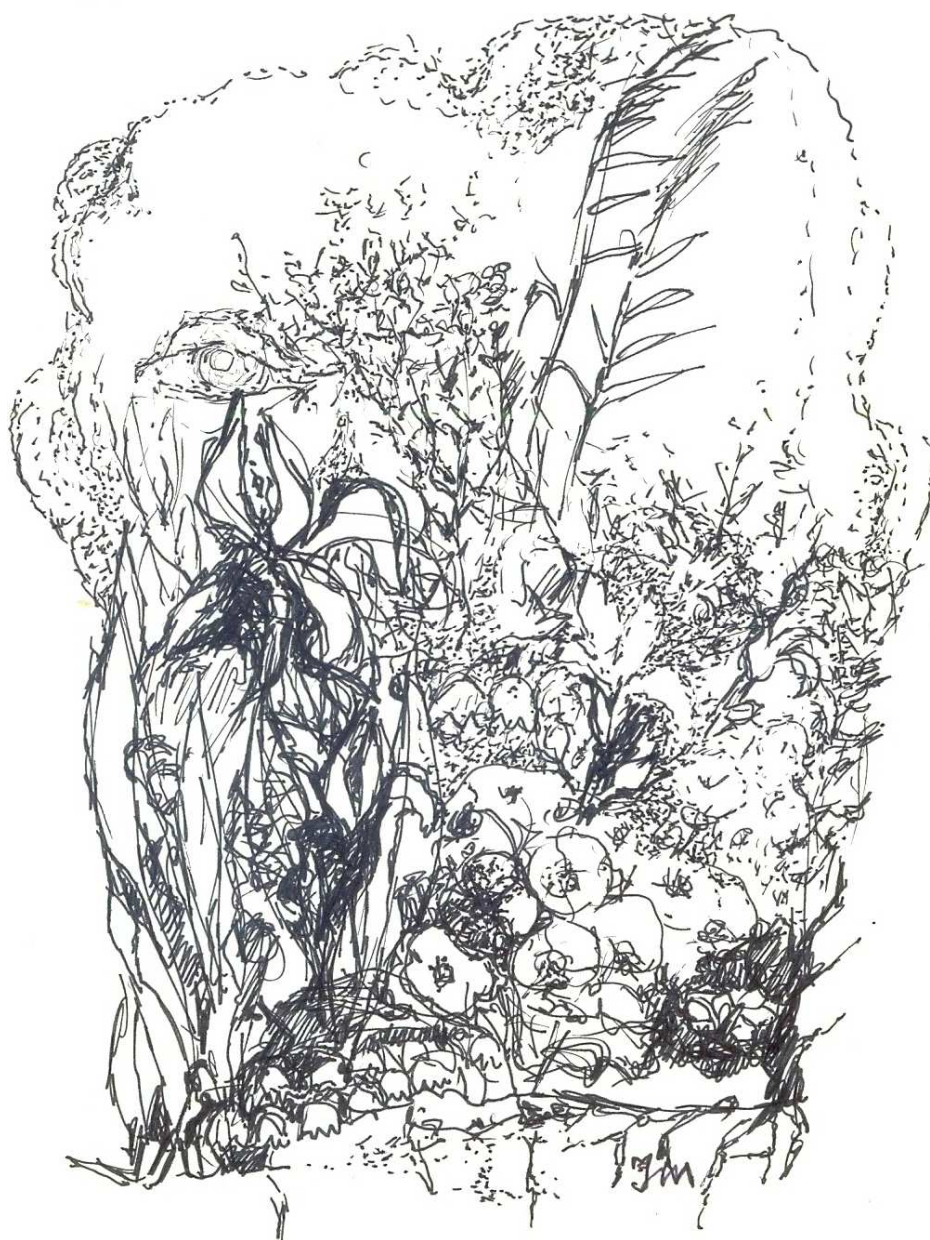


**NAUCZYCIELSKI KLUB LITERACKI
BIAŁYSTOK**



NAJPROŚCIEJ



ISSN 1898-228X

3 / 97 / 2012

NAJPROŚCIEJ, nr 3 (97) Kwartalnik; numer zamknięty 7 października 2012 r.

☐ POEZJA.

Irena Słomińska (str. 3-11). Krystyna Furtak (str. 12). Grażyna Cylwik (str. 13). Stefan Kudelko (str. 14-16). Nadzieja Kulikowska (str. 17).

☐ PROZA.

Mirosław Kossakowski. *Najważniejszy dzień w życiu*. [Opowiadanie]. (Str. 18-21). Krzysztof Kamiński. *Jakoś leci; Zdarza się*. [Opowiadania]. (Str. 21-24). Wiesław Sienkiewicz. *Powrót na Śląsk (zdarzenie prawdziwe); Zachęta*. [Opowiadania]. (Str. 25-31). Roman Kowalewicz. *Czy jestem mężczyzną?* [Opowiadanie]. (Str. 32-33). Apoloniusz Ciołkiewicz. *Zawody w pływaniu*. [Opowiadanie]. (Str. 34).

☐ SATYRA.

Robert Gutowski. *Imionnik żeński*. [Fraszki]. (Str. 35). Tadeusz Józef Maryniak. *Aforyzmy i powiedzenia*. (Str. 36-37). Kazimierz Słomiński. *Aforyzmy (2007-2009)*. (Str. 38-40).

☐ SZKICE, NOTATKI, RECENZJE.

- Regina Kantarska-Koper. *Plener w Ostrzycach (Szwajcaria Kaszubska). 23 lipca – 3 sierpnia 2012*. (Str. 41-43). # Kazimierz Żarski. *Między poetą a tłumaczem*. (Str. 44-49).
- Wiesław Sienkiewicz. *Polski wiek XX*. (Str. 50-51). Rafał Orlewski. *Gorzkie reminiscencje*. [O poemacie Wiesława Sienkiewicza *Polski wiek XX*]. (Str. 52-53).
- Joanna Pisarska. *Jest tak blisko*. Rec.: Joanna Dawidziuk. *Tak daleko i blisko*. Białystok 2011. (Str. 54). # Józefa Drozdowska. *O wierszach z ulicy Tartacznej*. Rec.: *Wiersze z Tartacznej*. Koncepcja wydawnicza, układ i redakcja Janina Osewska. Augustów 2011. (Str. 55).

☐ NOTKI. Oprac. K. S. (Str. 56-60).

☐ KSIĄŻKI. Oprac. K. S. (Str. 60-63).

☐ SATYRA. Stanisław Dąbrowski. *Eureka Mani*. [Wiersz satyr.]. (Str. 64).

Autorzy tekstów zamieszczonych w 3/97/2012 numerze „Najprościej” w układzie alfabetycznym:
Apoloniusz Ciołkiewicz (Białystok), **Grażyna Cylwik** (Białystok),
Stanisław Dąbrowski (Sofipol), **Józefa Drozdowska** (Augustów), **Krystyna Furtak** (Lubartów),
Robert Gutowski (Warszawa), **Krzysztof Kamiński** (Niemcy),
Regina Kantarska-Koper (Białystok), **Mirosław Kossakowski** (Warszawa),
Roman Kowalewicz (Białystok), **Stefan Kudelko** (Krupski Młyn), **Nadzieja Kulikowska** (Słoja),
Tadeusz Józef Maryniak (Warszawa), **Rafał Orlewski** (Piotrków Trybunalski),
Joanna Pisarska (Białystok), **Wiesław Sienkiewicz** (Rybnik), **Irena Słomińska** (Białystok),
Kazimierz Słomiński (Białystok), **Kazimierz Żarski** (Śliwiczki).

Wybór tekstów, opracowanie i przygotowanie do druku: **KAZIMIERZ SŁOMIŃSKI**.
Wydawca: Nauczycielski Klub Literacki przy Zarządzie Okręgu Podlaskiego Związku Nauczycielstwa Polskiego w Białymstoku (15-004, Białystok, ul. Sienkiewicza 46).

Druk: światłokopia ZO ZNP. Nakład 130 egz. Honorariów nie płacimy.

Numer dostępny w całości na portalu internetowym: <http://migielicz.pl>

Grafika na str. 1: **Joanna Malcer** (Gdańsk).

Irena Słomińska

* * *

pani ucieka od formy
pani zakrzepła w formie
pani ma futro z domyślnych soboli
pani jest w normie
pani się rozpułyła między palcami
koczujących babć
pani historia to babie lato a
pani kochanek po mistrzowsku włada planetą
obcą
pani oczy obiecują a-
historyczność chłopcom
modlącym się u pani rąk tak szczury połykają
flety
pani mówi znowu mi rąk ubyło
niestety
jestem jak Wenus z Milo
z pamięcią ramion
statyczna statuetka z otwartą
raną
pani mówi to konkret w krwi można
zanurzyć ręce
więcej?

* * *

kapitanowie
pożółkłe liście
zakotwiczenie
w domu którego okna
wychodzą na zachód

będą podawać
dojrzałe wiśnie
pierwiosnki których
serca
są żółte
i popękane

nocą
wstanie gwiazda
i zaciśnie
aksamitny
wszechświat na szyi

będą szlafmyce
z chwaścikiem
pociągnie ktoś

może spadnie
siwy deszcz
i cisza
przeleje się we
włosach

JESIEŃ

żółte dni całopalenie
słoneczne krzyżowanie
taka ostra nasyciona
krew ginących liści

żylaste
prawie że ręce
aż męką Chrystusową
wieje wiatr
śpiewa po schodach
toczy się jazda
sami pancerni
prosto w serca

a oczy spalona glina
a przeznaczenie
wysączony dzban
zdałaby się kropla błękitu
w taką pogodę
jak

wąsy wiarusa
zawinięty horyzont

przeszyć by tak
obumarłe oczy
tak jak
zabija się pokonanych

* * *

sumienne pisanie wierszy od chleba po dzban
po wyraźny rysunek płomienia na ścianie
po tlejącą łuskę cebuli
po tło
po rozbitcie atomu po wszechświat po krzyk
po człowieka?

* * *

kobieta krzyczy
kobietę napisano rozdzielnie
nie może dopasować pantofli do stóp
ucieka przed nią torebka
płaszcz
nie akceptuje zbyt kościstych ramion
fałdy sukni
stawiają opór ciała
szorstkość zjezonych włókien rani skórę

dowód osobisty legitymacje zdjęcia
wypadają z zeszywniałych rąk
czas
sprężył się do skoku marszczy fale
luster

ulice
którymi boi się iść
piętrzą przed nią smugi chodników
coraz krótszy oddech przestrzeń
urywa się nagle jak
niedokończony akapit

osobna
jak ruchomy wykrzyknik pośród
beładnie rozrzuconych znaków
ulicy

kobieta krzyczy

* * *

skrzaty koboldy elfy na pokosie trawy
w pożyczowaną zmierzchającą wpisane
prześciera
tańczą
gwiazda wieczorna Wenus wyostrza swe
palce

na zakolu zakręcie na zawrocie głowy
na motywie muzycznym błyszczą złocień
gwiazdy

dosięgnąć niebosiężne ukoić zbolące
małość i wielkość przestwór i ciszę
w moc czarodziejską przetworzyć przesilić

tak nas dotyka gwiazda odurzonych
tak nas omija śmierć o cal o palce

* * *

mak okrawek czerwieni rzucony
na rwącą wodę powietrza
przez chwilę balansuje na linie
warg – ja nie ja
mówiących
tonących
dopadających dna
niebieskiej konstelacji nadrzecznych kamieni

czasem mam maki w ręku jak jabłka
w koszyku
pamięć eksplozji światła rozdarcie przestrzeni
krwawienie ciała w którym jeszcze jestem
płodem

projekcją myśli Boga filującej jak
na przykurczonym knocie jarzące natchnienie

* * *

i było mi tak mało
wieczornej gwiazdy Wenus o palcach
z promieni

kiedy lato
śniło mocny zielny zapach

i było mi tak mało lśnień i westchnień
kiedy świat się cały
jak w kalejdoskopie
obracał

i było mi tak mało ciebie i mnie
tak szybko przemijaliśmy w obrotach rzeczy
a na miejscu miłości wyrastał
jak lampa jaskrawy słonecznik

pozostała nam tylko nadzieja
że przetrwamy
w słoneczniku i gwieździe i mroku
co przed nami

JA JABŁKO

tak się stałam skupiona musująca
dotyk
wyprzedzając zapachem

chwyтана w dłonie odkładana dłonią na potem mówisz
teraz cię opuszczę jest sztuka egzaltacji i sztuka
odwrotu

ładne to ładniej skupiona okrągłość toczenie kształtu
tak się staje słowo byt słowo trwanie słowo ukojenie
toczenie kształtu od snu po półcienie

to mówisz miłość owoc nie umiera kiedy się sokiem ze śliną
zespala w najprostszej konieczności drodze pojednania
od żołądka do serca od serca po niebyt

przekupka przy straganie znów mówi żeby
żeby tak jabłka macać to już trzeba nie mieć wstydu

* * *

przydrożnym różom nie brak wyobraźni
bo proszę
jest sobie kolec boleć
jeszcze nie zszedł na dekoracyjne manowce
a płatki tak
spływają spływają po palcach
jak krew
zdziczałe bezpańskie róże krwawią naprawdę
bo są obce
i abstrakcyjnie umierają

przy drodze zdarza się wiele tysiącletnich
trwań
jak na przykład powtórka z macierzanki

czasem coś tak się przelewa z miejsca na miejsce
jak zatrzymane powietrze
w którym dzieje się promień i kurz
miniaturowe trzęsienie ziemi
zmerch
odkrywa ideologię kamieni kiedy
półcien zajmują nagle połowę wyobcowanego

przydrożnym
różom nie brak wyobraźni
płatki
w metamorfozie oddychają jak wielbłądy
których wywinięte wargi
pocą się naprawdę

KONIE (fantasmagoria)

biegną konie biegną konie ulicami wprost
ilu grzbietów ich dosiędę ile siodeł skórą przetrę
w jakiej grzywie się umieszczę

jakim kształtem wpadnę w oko okrągłej na źrenicy
jakim cuglom się wysoko poderwana oprę w kształcie

rozedrgana spięta skóra gęstym potem się wykrwawi
potem jeszcze jedno harce ciepło ciała na asfalcie

w miękki asfalt wtulę rękę i miękkością jak aksamit
będę gonić obce palce rozrzucone kopytami

ani mniej mnie będzie więcej jak rozwianej wiatrem rzęsy
tylko woda płynie jasno w rozbieganej takt uprzęży

gonię konie konie płyną i tak takt im spada snadnie
co mi z myśli co im z kopyt na tańczący kurz upadnie

MY I JESIEŃ

mówię tak dobrze się rozumiemy
niewidoczni w ulicy sennej płynącej cieniami
na wystawie naprzeciw trochę fabrycznej ceramiki
kolorowa narzuta komponuje wewnątrz

latarnie wyrastają jak kwiaty wieczorami
na mojej sennej drodze na drodze twego klucza
żurawi prowadzącego do drzwi
schody pochłoneły pył światła żarłoczne ciemne czekają na kolację

co z tego że im dasz podtekst symbolika schodów
jest tak samo w złym guście jak jarmarczne żagle
baloników tylko przekupnie uporczywie
wydmuchują estetykę baśni para
skrapla się w jesiennym powietrzu

* * *

może mi otworzysz tę ulicę jak dojrzały owoc
chcę poczuć jej ostry sok na zębach otrzeć wargi
o chropawy mur odwykłam
od pocałunków

w moim domu jasne zegary
precyzyjnie
wymierzyły mi czas od okna do okna
okna wychodzą na ulice dalej
prostą ideą na przestrzał
miasta

nakłuta
na stalową wskazówkę z kolekcji Pana Boga
jeszcze się poruszam w szpitalach jest cieplej
można wyobrazić sobie że się dotyka ludzi
ich kształt w białej pościeli bywa ostry
grafika
sztuka konturu ingeruje w życie
tam to czujesz i jesteś współtwórcą który umiera
pod skalpelem chirurga – stał się pod powieką

* * *

człowiek wynalazek XX wieku –
pulsujący płomyk
zapałki
w oddechu zapach tanich papierosów

pod liśćmi
nad liśćmi które są rude
jak ostrożne lisy wsuwają się w jego ciało
mają szorstką miękkość kołnierza i krew
na wardze
po pierwszym pocałunku

zdefiniowany – ożywiona materia
w powszechnej przemianie paliwo i napalm
ma twarz wyżartą tylko pamięć
kreśli kontur jak długo mogą przetrwać włosy
włókna tych liści które się w próchnicznej
twardej glebie powoli zamieniają w sztukę
współistnienia

to na tej leśnej drodze przekroczyliśmy wymiary
i poza pojęciami przebaczyliśmy sobie
pamięć

* * *

w bibliotece mojego świata
zgubione
szpilki do włosów
połyskują ostrymi ząbkami

w bibliotece mojego świata
straszy duch pewnego
Szekspira
*ty jesteś taka mała ty jesteś jak lira**

narzekam
na niezborność
w bibliotece mojego świata
przydeptane pantofle
stoją na swoim miejscu
wytrzeszczając zasiedziały odciski

jeżeli ja się buntuję
buntuje się 112 poetów
skatalogowanych poprawnie
przemieszczonych sensownie
z poprawką na determinizm

ale ja się nie buntuję
nie piję piwa
nie zapadam na ślepa kiszkę
co najwyżej kicham egzystencjalizmem

czasem
kiedy mam chandrę
w bibliotece dają świetny kabaret

* K.I.Gałczyński: *Szekspir i chryzantemy*

* * *

kubuś puchatek był misiem o bardzo małym rozumku
o jakim uczuciu był kubuś puchatek
o jakim poznaniu zmysłowym pozazmysłowym
intuicyjnym
przedmyślnym?

nie czytamy książek dla dzieci
stawiają trudne
pytania

rzeczywistość międzyludzka ma ludyczny sens
stworzono koszmarek oswój się z koszmakiem
zagraj z nim w kółko graniaste
śmiej się
kółko graniaste toczy się donikąd

przeszkadza mu w tym tylko kant
tylko jeden kant

wielkie rozумы są bardzo zajęte
szlifowaniem szlifowaniem szlifowaniem
nad opiłkami unosi się pamięć

zdaje się że kubuś puchatek miał stale do czynienia
z pamięcią

REKONSTRUKCJA MITU

wychodząca z sosny
żywiczna
cebulowa bursztynowa panna
rozbierana do snu do białości

a ponieważ istnieje prawdziwie i nieprawdziwie
i granice przestają być czytelne
poza spazmem mięśni – skurcz i rozkurcz
złożenie do snu i rozłożenie w śnie
białe są prześcieradła nocy które przyjdą

początek – ruch embrionu w łonie
w drzewie które jest ciałem w ciele które się staje
w świetle neonu niebieskie cieniem skrzydlate
czytelne w obrazie mistrza zapisem zmarszczek
realne faktura płótna
dotyk

ulice się rozprysły na szkle powietrza jaskrawe
plamy złożysz z nich jeszcze jeden obraz
drzewa odchodzą poza foremki domów
tu było „Małe Zoo” kupowaliśmy jaszczurki
zwinki
smyrgnęły po skórze i tyle ich było

kosz do którego wyrzucasz stare buty
kiedy wychodzisz ze sklepu wciąż wychodzisz
ruch który zakrzepł w ruchu

a
Dafnis w drzewo bobkowe przemieniła się

MARTWA NATURA

fioletowosrebrna głowa kapusty
zakopcony czajnik który roni łąę
na brudnorudą ścieżkę marchwi z ogonem komety

ile znaczeń można przypisać warzywom
gdy więdną
przedśmiertny skurcz skóry
dotyk niewiadomego
kosmiczny sens przeznaczeń –
prostej drogi do garnka

można je uczłowieczyć ożywić lub zabić
nadać im animalistyczny sens
na drodze mlecznej usadowić lisa
a obok umieścić rzeźbę siwowłosej
którą przenika noc
a wszystkie oceany tego świata
znajdą syntezę w kropli
łzy

a czajnik?
pomyśl gdzie powstała idea czajnika
wspaniała jak każda idea w godzinie początku
nie dotykaj czajnika
łudz się
że jest jedynie odbiciem idei
w ogromnym lustrze

* * *

i gdzie są twoje bunty wyblakły prometeuszu
gwałcący mrok iskrzeniem zapalonego papierosa
i gdzie są nasze demokracje czy
wyrzucone na orbitę małego ogródka
też są dowodem na to że nasz świat pozostał
najlepszym ze światów!
miasto się sprzysięgło przeciwko nam
tłumami obcych ludzi nicuje oczekiwania
i tylko nasza zgoda na miłość chroni
ten ostatni przyczółek
malowany azyl

* * *

tutaj liczy się nawet puszka
datę ma równo wypisaną na denku
i co z tego że pusta

tyle kwiatów i śmieci za to obraz
piękny
wynika z wnętrza ściany i ściele się
w półmroku
ściany są nietykalne malowane foremki
w czystą spadzistość zakrzepłe

z rana
wstaje śmieszny stary mężczyzna długo
pożółkłej igły na dnie serca szuka
rozdrapuje zszargane nerwy do zacerowania
pozostał mu jeden obraz –
wielka encyklopedia patrz Sztuka

* * *

czuję twoją obecność duszną
nocą
przychodzisz by dać mi znak
nie widzę cię wiem
że wyciągasz ku mnie
rękę
wciąż nas wiąże
twoja nieistniejąca już krew
z moją żarliwą krwią
nie mówisz o Bogu to co wielkie
zawsze kryje się w cieniu
możesz mi tylko na powietrze
rzucić swój krzyż – krzew różany
którego pnącza układają się w znaki
zapytania
nic nie jest już dobrem
wszystko jest prawdą
zrzucam kolejne skóry po grzechu grzech

w powietrzu lekko unosi się mgła
dusza
tajemnicza praludzka
egzystencja

ZADUSZKI

pogrzebaliśmy naszych zmarłych
teraz składamy kwiaty
zapalamy znicze
i pamięć
święcimy

święć się imię Twoje
Ty który składasz się z energii
wiekuisty wieloduchowy wieloludzki
nasz największy zmarły
nasze stokrotne życie

* * *

wierzę tym
którym niebo się otwierało wyrzucając
pestkę
nasienie innego nieba

Irena Słomińska

Krystyna Furtak

* * *

woda porywa brzegi lata
toczy po kole lot ptasich oddechów
horyzont tonie w mgłach
za urwiskiem
rzucam maki na plażę
połamane zegary klaszczą w dłonie
cichnie wiatr
i gigant morskiej piany
zatrzymany w kadrze
o czym marzysz w melancholijnym
krajobrazie
w ciszy – bez ciszy rzucanych pod nogi
bagaży
litera alfabetu zaczyna się od środka
by przekonać niedowiarków
o istnieniu innych przestrzeni
konarów drzew
na których wiszą koszyki gałęzi
wyśpiewane przez pisklęta
i niebo mgliste zza koronek
i takie proste do widzenia
kiedy na trawie siadają łabędzie

* * *

w ciszy
pełniejszej od kropli deszczu
jaśniej wiatr
na pnącach włosów gniazd gałęzi
porozrywane w dłoniach rzęsy
koleiny dróg
burze torują przestrzenie
nie mogę oderwać wzroku
ale czy widzę
dzień zamyka się czerwienią
wyobrażenie prawda
a jednak idę jeszcze idę
gdzie myśli płyną niosąc złoto
i w dłoniach rzęsy trzymam
gdy wiatr sieje plon
szum samochodów na ulicy
a ja jak cząstka... korab mały

* * *

wiatr płacze warkocze
nanizane na głosy ludzkich serc
coraz częściej śpiewają sowy na dobranoc
w zapłakany dymie
z uśmiechem dźwiga się czas
a ja jak latarka w nocnym pejzażu
w bieli puchu
roztapiam płatki
twoich łez i śmiechu
przerzucam w barwy od ciebie do ciebie
i taka cisza zamknięta na oczach
oddycha spokojnie
kładzie macki na granicy cieni

powiedz
że dzisiaj wypadł ostatni dzień z kalendarza
jak galernik
dokonujący aktu narodzin

* * *

człowieczy los
przesiany przez wyżymaczkę
w banderoli ust
słowa rzucane na wiatr
i cichy tętent koni
jeźdźcy apokalipsy
odjeżdżają na północ
pozostaje człowiek-ściana
człowiek-odbicie
w pudełku po zapałkach

Krystyna Furtak

Grażyna Cylwik

BABCIA PAULINA

Motto: *do wieku trzeba dojrzeć
w słońcu własnego serca*

Babcia Paulina plotła zgrzebne ogrody
na skrzypiących krosnach
pachniała łąka pod nieba poddaszem

pamiętam zapaski pachnące chlebem
motyle z makatki jak żywe kwiaty

mój dom został w spojrzeniu i ciszy
chcę stanąć za progiem dzieciństwa
rozkroić zapach świeżego chleba
płaszac motyle z wiatrem Światowidem
i współczuć lipowemu Chrystusowi
wrośniętemu w rozstaje

ZIEMIA

ziemia jak matka
dająca przetrwanie
podzielona jak bochen chleba
na działki niezgody

kamienisty ugór
wygraża spracowanym dłoniom

zbudź przestrzeń swego serca
może szept światła obudzi
gobelin łąk za domem

dam ci kolczyki z diamentami rosy
dzwoneczki szarego skowronka
i skrawki słońca jedzone z ręki

WIATRAK

niesforność wiatru wplątana
w ramiona wiatraka jak ludzki los
Eol powiesił torbę na harfie
i zasiał ciszę w żarnach

stare wspomnienie wraca zgrzytem
pieśń spłowieła nuci wiatr błędzący w sitowiu
stary młynarz słucha czerwcowych litanii

znak krzyża uwerturą do krojenia chleba

Grażyna Cylwik

Za powyższe wiersze autorka otrzymała pierwszą nagrodę w IX Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Melanii Burzyńskiej – Mońki, wrzesień 2012 r.

Stefan Kudełko

ZESZYT

W ciasnym sklepie na półkach
sól migdały czekolada
knot do lampy
nafta
zapałki

popękana lada
na niej ołówek i zeszyt

tu kupowałem z siostrą
na kredyt
a to chałwę
a to machorkę dla ojca
a to powidła

Dawid zapisywał kolumny cyfr
głaskał brodę

do dziś widzę
poplamione kartki
choć zamknął się
niebieski zeszyt
jak okiennice w sklepie
Dawida

POWROTY DO CHEŁMA

Zawsze tam wyruszam
bez przygotowań i ekwipunku
bowiem wszystko
jest u celu podróży

głosy
kształty
zapachy
kolory

gwizd parowozów
na Kolejowej

tocząca się fajerka
przed bosymi stopami
papierowe łódki na Uherce

i ten sam
niepozorny dołek
który czeka
na celne trafienie
zaśniedziałym halerzem

CZŁOWIEK

Pod murem
skulony człowiek

powieki ciężkie
jak głaz Syzyfa

na kawałku tektury
koślawe litery

okaleczony życiorys
i modlitwa

POCHWAŁA NUDY

Astry powoli więdną
babiego lata snuje się nic
cisza zaległa nad polami
dzwonom przestały serca bić

energię i zapał nuda zniewala
w mgnieniu oka fantazję dusi
gnuśnym komórkom pod czaszką
hołduje i
w ogóle nic nie musi

jesień panoszy się chmurna
natrętnie do okien kołacze
leniwie wlecze nudę za sobą
uśmiecha się rzadko
coraz częściej płacze

mnie to nie razi
jak kot na zapiecku
smakuję nudę
jesiennego zmierzchu

NOC

Nocą ciemność
spowija poraniony dzień
czarnymi bandażami

wszystko
co dzieje się nocą
w ciszy zamiera
trzeba mieć sobie oczy
aby kwiat na łodydze
wypatrzeć

karzeł przerasta olbrzymia
gałęzie drzew truchleją

nocą krzywda
boli bardziej
i zadra w sercu
bardziej uwiera

NOSTALGIA

U schyłku lata
w lesie i ogrodzie
pełno nostalgii

rozpanoszyła się
we wrzosach i astrach

przesiaduje codziennie
na ławce w parku

smutnym uśmiechem
do siebie zaprasza

pogawędzimy – szepce –
o tym i owym

o pszenicznych kłosach
czesanych przez wiatr

o paproci która
miała zakwitnąć

jak na próżno
czekaliśmy na jej kwiat

BRZOZA

Czyżby była
poraniona
i bandaży
nie starczyło?

Z przerażenia
tak pobladła,
gdy u stóp jej
żołnierz zginął?

Czy też może
kiedy Stwórca
malował obłoki,
śnieżna biel
skapnęła z pędzla
na nią i stokrotki?

Stoi skromna,
zasłuchana
w ptasi śpiew –
najpiękniejsza
panna młoda
pośród drzew.

JESIEŃ

Jesień
nadciąga chmurna
kołacze natrętnie
do okien
leniwie wlecze
nudę po polach
łąki otula
mgły szlafrokiem

cichnie
ptaków świergot
płoną drzewa
deszcz pada

drogi
ścieżki
i aleje
lśnią srebrną mozaiką
jakby niebo
rozsypało kawałki
rozbitego zwierciadła

PORY ROKU

Wiosna
wdzięczy się
w kolorowych sukniach
jak modelka na wybiegu

w nadmiarze ma łaszków
więc chętnie oddaje je latu

a lato
jak to lato
samolub
parę wyrudziałych spódnic
podrzuca ubogiej jesieni

zimie
zostają tylko
białe koronki na szybach
i zamknięty na głucho
ptasi śpiewnik

PERON

Uścisk
uśmiech
łza

– podlewaj ogród
gdy nie będzie deszczu
w lodówce
masz makrele
i pieczony schab

– a ty
pamiętaj
napisz
zadzwoń

przeciągły gwizd
głuszy słowa

– ja
ciebie też
bardzo

pa

CMENTARZ

Na cmentarzu
Père-Lachaise
Chopin
gra gwiazdom
nokturny
Apollinaire
liściom
szepcze wiersze
i dudnią salwy
pod cmentarnym murem
gdzie padli
komunardzi

a kiedy milknie
fortepian
strofy
w listowiu cichną
i przebrzmiają
głuche salwy
kamienne anioły
układają się do snu
otulając skrzydła
woalem czarnym

GROSZ

Zabrali ze sobą
po groszu

być może
przyda się
ukryty
na dni kieszeni

kiedy nadejdzie
samotna godzina
może się zdarzyć
że mały grosik
Chicago czy Londyn
w Kraków i Gniezno
zamieni

Stefan Kudelko

Wiersze ze zbioru: Stefan Kudelko. *Przez różane pola*. Katowice 2012.

Nadzieja Kulikowska

STARY PŁOT

Powypadały sztachety
Dom też się wali
O ratunek prosi
Gospodarz nie słyszy
Wyjechał do miasta
W wiejskiej zagrodzie wieje smutkiem.
Tylko łopuchy tańczą wesoło
A zmory wieczorem
Przechodniów straszą w zaroślach.
Studnia z żurawiem
Jeszcze skrzypi po cichu
Nikommu już nie potrzebna
Opowiadają tylko historię przeżyć.
Szara ropucha oko przymruży
Pod wielkim głazem w ogrodzie
I myszka przemknie
Tylko pilch swawolnie
Wybuduje kilka kopców
Wokoło domu.

ZIEMIA

Okrągła jak jabłuszko
Ulepiona Bożą ręką
I zawieszona w otchłani niebios
Pośród innych gwiazd
Piękna lśniąca kolorowa
Jak bombka na choince
Na Boże Narodzenie.
Ale prawdziwa pełna życia
Gdy inne planety martwe.
Ziemie Bóg stworzył nam
Bo nas kocha
Zasiał kwiatki
Pomalował kolorami tęczy
Ozdobił dolinami górami
Napoił wodą życia.
Ofiarował nam ją na wieczność
A duszom przyznał niebo
Teraz spogląda z wysokości
Czeka cierpliwie
Na naszą wzajemną miłość.

SEN

To jakby dwa światy
Ziemskie i pozagrobowe
Usypiamy zmęczeni starością
We śnie żyjemy młodym duchem
Jak nowo narodzeni.
Czujemy zapach wiosny
Przeżywamy piękną miłość
Jak na jawie widzimy
Tych co odeszli do wieczności
Czasem żal że to tylko sen.
Ale cieszymy się kiedy widzimy ich chociaż
we śnie.

Po prostu żyjemy na nowo.
To Ty Panie Boże dajesz nam te piękne sny
Dziękujemy Ci całym sercem
Za ten wspaniały dar.

SŁOŃCE ZAPADŁO

Pod zasłoną ciemną nieba
Ocknęły się gwiazdy
Czas jakby stanął w miejscu
Nagle zajaśniało blaskiem.
Księżyc w pełnej krasie
Wyłania się spoza koron drzew
Toczy się żółtym tempem
Coraz wyżej.
Siejąc srebro wokół siebie
Widać nie skąpi
Nawet włosy mi poproszył
Hojnie.
Zamyślony zaplątał się
W koronie rozłożystej jabłoni
Nie traci czasu
Zazdrośnie podpatruje
Zakochanych.

Nadzieja Kulikowska

Wiersze z tomiku: Nadzieja Kulikowska.
Z życia wzięte. b.m.w. 2012.

NAJWAŻNIEJSZY DZIEŃ W ŻYCIU

Lipcowy wieczór oddychał nagrzanym powietrzem upalnego dnia. Szarość okryła już promieniujące ciepłem mury budynków tętniącej życiem stolicy. Traktem Królewskim spacerowali warszawiacy przyglądając się swojemu miastu. To już dwudziesta druga. Czy zdążę na pociąg? Nie mam biletu. Niech no wreszcie coś przyjedzie! – niepokoiłem się.

Nadjechał trolejbus. Chyba ostatni kurs, bo kierowca tak spieszył się do domu, że już w biegu otworzył drzwi i jeszcze szybciej je zamknął, a moja torba tylko w połowie była przy mnie, reszta sterczała na zewnątrz. Wprawdzie z uśmiechem, ale pogroził mi, jakbym to ja zawinił. Nieważne! Machaj sobie, twój palec – pomyślałem. Jadę. Podskakując na licznych dziurach w jezdni przesuwałem w myślach twarze koleżanek i kolegów, z którymi pożegnałem się najprawdopodobniej na długie lata, z niektórymi może na zawsze. Cieszyłem się, że choć jeszcze bez indeksu, ale jestem już studentem. Miałem szczęście, przy tak silnej konkurencji przebrnąć egzaminacyjne sito – to szczęście, ale przecież szczęście zachęcałem, by było ze mną. Niepokoiło mnie jednak to, że dziewczyna, na której mi zależy, jest niedostępna. Odmówiła wyjazdu na wspólne wakacje. Nie mogłem się z tym pogodzić, ale i zrobić nic więcej nie mogłem. Nic do mnie nie czuje, koniec i kropka. Poczuję się podobny do uszkodzonego neonu dworca głównego, z którego odjadę w góry. Walczyć czy dać sobie z nią spokój?

– Jak leziesz baranie – usłyszałem, stojąc na jezdni Towarowej, tuż przed trabantem. Nie słyszałem wcześniejszego pisku opon. Dopiero donośny głos dużego mężczyzny gramolącego się z auta i groźby uświadomiły mi, co by było, gdyby szczęście mnie opuściło. Chwyciłem torbę, która wypadła mi z ręki, powiedziałem „przepraszam, bardzo przepraszam” i, nie czekając, aż rozżalony kierowca zrealizuje obietnicę (zaraz ci jeszcze dokopie), pobiegłem, znikając w czeluściach zatłoczonego dworca.

Uformowany pociąg wjeżdżał między perony. O dziwo, przedziały były już pełne! Przez okna wyglądali zapobiegliwi pasażerowie, przyglądając się napierającym na drzwi wagonów. Gdybym miał większy bagaż?! Lepiej nie myśleć. Ważne, że jadę i zniosę tę jazdę nawet na jednej nodze. Odetchnąłem z ulgą i przerażeniem, ale jadę i już. Aby z dala od niej!

Na peronie w Poroninie, mimo wczesnego świtu, czekali górale oferujący podwóz i pokoje. Ja miałem zamówiony pokój u znajomego gazdy, niestety, o kilka kilometrów z „hakiem”, jak mawiają tubylcy. Nie reagowałem na zaproszenia. Zresztą grosza miałem nie za wiele, by pozwolić sobie na luksus przejażdżki góralską dorożką. Wyruszyłem znanym mi traktem, który niejednokrotnie pokonywałem przed pięciu laty. Mój gazda już nie spał. Stał przed chałupą i gospodarskim okiem witał nowy słoneczny dzień.

– Dzień dobry gazdo!

– Ano witojcie – odpowiedział.

– To ja, Bartek z Warszawy. List otrzymaliście?

Gazda pomyślał i kiwając głową odpowiedział:

– A beło tak! – Zaraz jednak nieco się ożywił, ale ciszej już, jakby zdradzał mi tajemnicę – Też z Warsiawy dwie sikorki, a piękne ze hej! O! Jedna już wyjrzoła, bo wiedzą, że chłopiec przyjedzie – zaśmiał się wskazując okno, w którym poruszyła się zazdrostka.

Zapowiada się ciekawie. Ja też chcę was poznać, ale teraz chętnie bym coś zjadł – zażartowałem w myślach.

Za chwilę gaździna Zochna już niosła kubek mleka, prosto od krowy, które nie bardzo pasowało do konserwy – byczków w pomidorach – i drożdżowego ciasta, ale głodny zazwyczaj nie jest wybredny, żołądek posłuszny, więc jadłem i piłem ze smakiem. Spać nawet nie próbowałem. Szkoda było dnia, a w sąsiednim pokoju już krzątały się „sikorki” z Warszawy. Korciło mnie, by przywitać się i zawrzeć znajomość, ale dałem im trochę czasu, by ukończyły poranną toaletę

i poprawiły urodę, a ja wymyślę jakieś oryginalne powitanie. Może patetycznie? To dobre i wychodzi mi to nieźle. Myślę, że poznają się na żartach.

– Witam panny, witam i zaraz pytam, czy się nie narzucam, a spokoju nie zakłócam? – wyrecytowałem przy akompaniamencie skrzypienia drzwi.

– Ale rymiarz! Może po prostu, dzień dobry – zareagowała nieco naburmuszona niewysoka blondynka z włosami spiętymi w koński ogon.

Jednak szybko spuściła z tonu i spojrzawszy na mnie przenikliwie uśmiechnęła się. Oho, panienka z dobrego domu – pomyślałem.

– Powitanie zbyt wczesne, ale skoro już, to niech będzie – odezwała się ciemnowłosa z miną bardziej przyjazną.

– Jestem Bartek. Mam dla was propozycję, byśmy spędzili wspólnie dzień dzisiejszy. Jeśli macie już plany, w których się nie mieszczę, to trudno. I co panie na to? Mogę znać wasze imiona? Popatrzyły na siebie i na mnie. Rozumiem, że chcecie się namyślić, daję wam parę minut.

Lekko się skłoniłem i wyszedłem.

Milczenie nie trwało długo.

– I co, sąsiedzie Bartku? – usłyszałem zza ściany z ociosanych bali uszczelnionej słomianym warkoczem. – Przybywaj! I porywaj! W nieznane! – zawołały.

Zabrzmiało to tak donośnie, że zaciekawiony gazda zajrzał do mojego pokoju. Widząc, że leżę na łóżku mruknął: – Ot, sakramencko! – i zamknął drzwi. Dziewczyny ponownie krzyknęły: – Rycerzu, zasnąłeś?!

Nie czekając na dalsze wołania, bez pukania, cicho wszedłem do nich. Nie usłyszały wejścia.

– Porywam obie! – powiedziałem stłumionym głosem ducha. – Fajne jesteście. Pewnie studentki i po dobrze zdanych egzaminach? – zapytałem.

– Bernadetta dano mi na świętym chrzcie – pokazując piękne bielutkie zęby, przedstawiła się blondynka.

– A ja jestem Beatrice – dodała ciemnowłosa.

– To ojcem jest pewnie Dante – stwierdziłem z udawaną powagą. – Ale będę do was się zwracał po prostu Ber i Bea, to krócej. I myślę, że się nie obrażicie. Macie poczucie humoru, więc teraz w drogę w wygodnych butach i ubraniu na upał i chłód, bo w górach pogoda jest bardziej kapryśna niż koń Aleksandra Macedońskiego. Bucefał – zwał go jego pan.

Po drodze wznoszącej się dość stromo w górę, jak dla ceprów, zatrzymaliśmy się w Bukowinie w barze „Na klinie”. Atmosfera swojska, wybór jadła niewielki, ale herbaty i chleba z masłem pod dostatkiem. Po posiłku wyruszyliśmy do Morskiego Oka.

– To ponad cztery godziny marszu! Co wy na to? – zapytałem, i żartując pochwaliłem je. – Zdrowe, młode, silne, ładne, rozkoszne, dowcipne i... – zająknąłem się taktycznie, bo słów wcale mi nie brakowało.

– Już wystarczy – włączyła się Ber. – Niezły jesteś – dodała z uśmiechem.

Przez całą drogę rozmawialiśmy, opowiadaliśmy dowcipy, wybuchając śmiechem tak głośnym, że raz nawet zwrócił nam uwagę turysta w zielonym kapeluszu z odznakami i z piórkiem. Zatrzymywaliśmy się, podziwiając przepiękne krajobrazy.

Zbliżaliśmy się do miejsca, skąd dochodził potężniejący szum i przeradzał się w huk spadającej z wysokości wody. – To polska Niagara, Wodogrzmoty Mickiewicza, myślę, że je już kiedyś widziałyście? – zapytałem dziewczyny, ale zaprzeczyły. Nie były tu nigdy. Patrzyły z ciekawością. Stały obok siebie. Ich wzrok, utkwiony w spadającą niczym lawina spienioną wodę, był pełen zachwytu. Stałem za nimi. Ber obejrzała się. W jej oczach odczytałem zaproszenie, bym stanął bliżej. Zrobiłem to chętnie i objąłem ramionami. Przysunęły się do mnie, ale Ber mocniej. Teraz razem szukaliśmy w spienionej wodzie czegoś nadzwyczajnego, błędziliśmy myślami tam, gdzie nas jeszcze nie było, w ciszy, bo muzyka rozszalałej wody zagłuszała każdy dźwięk. Tutaj grały tylko organy Tatr.

Powrót do domu gazdy „Sakramencko”, jak go wspólnie nazwaliśmy, trwał dłużej. Częstsze przystanki, bo Ber otarła nogę i zmęczenie spowalniało marsz. Ber chętnie korzystała z mojego ramienia i chyba nie tylko z powodu trudności w chodzeniu. Dobrnęliśmy do gazdówki, gdy słońce schowało się za górami i tężejąca szarość pospiesznie spadała na okolicę. Gazda, może z troski

o swoich letników, czekał na nas, ale gdy spostrzegł, jak idę z Ber pod rękę, zawołał swoją babę Zośkę, by też „podziwowała”. Stanęli po obu stronach drzwi do domu, a gazda nas powitał: – Fiu, fiu, sakramencko! Oj dziołchy! – pokręcił głową, chyba z lekkim żalem, bo „górol beł ci to krzepki”!

– Wyszło się z babo, panocków zaprosić do izby, do stołu, bo to może i głodne, a i opić trzeba siano, co to już do stodoły się zwiozło – zapraszał, prawie zagrządzając nam wejście do pokoiów. Nie musiał długo namawiać. Parujący kapuśniak wabił do stołu, a żołądek... lepiej nie mówić. Poprosiłem gazdę, gaździnę zaś osobno o zrozumienie dziewczyn, że za młode, by pić jak chłopcy, więc niech pójdą spać, a sam poświęciłem się, by opijać przywiezione siano. Wiłem się jak waż, by nie całkowicie towarzyszyć „świętującym” i wreszcie udało mi się wyrwać z gościnnych szponów gazdostwa.

Gdy wszedłem do pokoju dziewczyn, nie spały, ale przestały rozmawiać. Pomyślałem, że zrobię lepiej, jeśli wyjdę. Ber, wyczuwając moje wahanie, zaproponowała, bym siadł na jej łóżku na chwilę, bo przecież nie jest jeszcze późno, a jutro także mamy wiele czasu wolnego. Byłem pewien, że chciała mojej obecności. Puszysta pierzyna ugięła się. Ber odsunęła się nieco, bym usiadł wygodniej. – Jak ci górale mogą spać latem pod pierzynami – zastanawiałem się – i czy Ber też musi. Wolałbym, żeby tej pierzyny nie było. Ale jest – urwałem myśl. Korciło mnie, by położyć się na tej pierzynie. I zaraz położyłem się. Ber drgnęła, ale leżała spokojnie. Objąłem ją, nie naruszając nastroszonej puchowej bariery. Pocałowałem. Nie broniała się. Wewnętrzne opory topniały w niej z każdym kolejnym pocałunkiem. Tuliła się. Czułem jak narasta pożądanie, ale bardziej zależało mi na Ber, więc nie chciałem jej spłoszyć. Walczyłem z moim największym wrogiem czyli alter ego. Ber miała wilgotną twarz. Płakała. Może jeszcze nie do końca wierzyła sobie, a tym bardziej mnie. Bea przewracała się nerwowo pod swoją pierzyną, głębokimi westchnieniami zdradzała, że chce pomóc przyjaciółce.

– Płaczesz? – zapytałem.

– Nie! Gorąco! – skłamała i zaproponowała, byśmy wyszli przed dom. Głos jej drżał. Gdy ją objąłem, była chłodna. Stanęliśmy na zewnątrz domu pod oknem, przy którym stało łóżko koleżanki. Wiedziałem, że będzie nas podsłuchiwać, może nawet podglądać, więc zapaliłem papierosa i dym wypuszczałem do góry, a Bea nie znosiła zapachu tłącego się tytoniu. Bawiło to Ber.

– Zapalisz?

Powiedziała „tak” – i zakrztusiła się dymem.

– Nie kłam, bo nie umiesz palić. Zresztą tym mi nie zaimponujesz. Jesteś miłą dziewczyną, ale właściwie to wiem o tobie nic. – Nie zabrzmiało to może gramatycznie poprawnie. Ja mam takie swoje powiedzenia, którymi zaskakiwałem nawet nauczycieli.

– Więc co chcesz o mnie wiedzieć? Pytaj! – powiedziała.

Siedliśmy w kucki, jak dzieci przy zabawie w „żabę”. Papieros tlił się cienką nitką dymu, a Ber opowiadała o sobie, o szkole, o planach na przyszłość. Słuchałem, obserwując jednocześnie spadające gwiazdy. Przy każdej świetlistej nitce na niebie przytulała się mocniej, milkła. Nie wiem jak długo trwało opowiadanie, ile było milczenia jej, ile mojego. Było mi bardzo przyjemnie, mimo że chłód nocy dawał już o sobie znać, ale zapukało coś do serca i otworzyły się niewidzialne drzwi, za którymi roztaczał się krajobraz o niespotykanych barwach i przyciągał nie tylko wzrok, ale i duszę. Niesamowity dzień, nieoczekiwanie podarowany mi w Tatrach.

– Idźmy już spać – rzekłem. – Jeszcze przed nami kilka kolejnych wypadów, jeśli lubicie moje wycieczki – zażartowałem.

Następne dni spędzaliśmy razem. Zawsze na wesoło. Wieczorem, w dniu poprzedzającym mój wyjazd, nieomal powtórzyliśmy scenkę z pierwszej nocy, niestety bez spadających gwiazd. Choć słowem nie pisałem o jutrzejszym wyjeździe, Ber to wyczuwała. Gdy powiedziałem pierwszy mój wiersz, wiedziała, że to już pożegnanie, ale zachowała spokój. „Jesteś przy mnie jak sumienie, jesteś powietrzem, którym oddycham z rozkoszą. I biało-głowym wodospadem. I muzyką jodeł, ciągnącą za orłami, szybującymi na bezchmurnym niebie. Jesteś tutaj ze mną.”

Po wielu, wielu latach wspólnego życia nieraz siadamy blisko siebie na balkonie i obserwujemy gwiazdy. Już inne, lecz nie przeszkadza nam hałas miasta. Do wiersza, który wyszeptalem Ber pod gazdówką, dodałem: „Zjawiał się tak nieoczekiwanie. I weszłaś do serca. I pozostałaś.”

Mirosław Kossakowski

Krzysztof Kamiński

JAKOŚ LECI

Nazywam się Jurek i mam dwadzieścia pięć lat. Rodzina mówi, że jestem już stary byk, ale ja tego tak nie odbieram. Każdy ma ostatecznie kiedyś dwadzieścia pięć lat i jest to z pewnością piękny wiek. Młodzięczy. Naturalnie, wiele osób ma mi za złe, że mieszkam z moją matką i nie jestem samodzielny, ale co to ich właściwie obchodzi. To nie jest ich problem, to jest mój problem. W końcu starałem się i chodziłem na studia. Fakt, że nie zrobiłem magisterki, ale czy jest to takie ważne? W dzisiejszych czasach nie jest łatwo znaleźć pracę i każdy to wie. Kumplice mówią tak samo. Wieczorem, kiedy nareszcie zapada cisza i spokój, siedzę sobie często z Heńkiem. Nie pijemy wiele, może parę browarów, albo red bulla na wódkę, w małej ilości. On też nie ma specjalnej recepty na życie. I to jest w porządku. Nie ma recepty na życie. Trzeba żyć tak, jak da się żyć.

Jeśli mam problem, to tylko ze szmałem. Ale matka ma przecież rentę i chyba jest normalną rzeczą, że mi coś odpali. Chce, żebym wyrzucał śmieci, albo coś w domu naprawił. Na głupiego nie trafiło. To jest dobre dla frajerów i rzemieślników. Ja nie jestem rzemieślnik, tylko akademik. I to jest ta różnica. Akademik to facet z wykształceniem, tak jak ja. Kiedyś znajdę pracę, która pozwoli na kupno dobrego samochodu i na pięciogwiazdkowe hotele. Trzeba tylko poczekać. Cierpliwości. Ostatecznie z matką da się wytrzymać, chociaż czasem robi się niemożliwa i dyskutuje ze mną o szukaniu pracy, kształceniu się i samodzielności. Mówię wtedy do niej: Robisz mi stres. I wychodzę z domu, bo nie mam chęci słuchać tego badziewia.

Ostatnio przyjeżdża do niej jakiś fagas. Z ojcem się przed dziesięcioma laty rozwiodła, ale fagasa przyjmuje. Przywiózł jej komputer i tłumaczył, jak pracować w Internecie. Nawet postawił w moim pokoju routera z antenką. Biedny frajer. Parę tygodni później, jak mnie matka wkurzyła swoimi uwagami, to wyrwałem kabel i nie miała Internetu. Po co ma pisać i kontaktować się ze znajomymi. Niech lepiej posprząta mieszkanie. Co prawda odkurzacz się spieprzył. Babcia, jak była w gościnie, zwała tę zepsutą boazerię, którą miałem naprawić, na kurzojada, i pokrywa poszła. Zaniósłem do naprawy, bo mi matka suszyła dwa tygodnie głowę, ale nie naprawili. Powiedzieli, że koszty naprawy przekraczają wartość urządzenia. Trudno. Teraz matka chce, żebym przyniósł odkurzacz z warsztatu. Nie ma mowy. Nie będę, jak idiota, niósł odkurzacza przez całe miasto. Samochodem, zgoda, ale nie tak po prostu, pod pachą. To może ona sama sobie załatwić. Więc ten fagas chciał, żebym naprawił drzwi w mieszkaniu. Faktycznie, żadne nie funkcjonują. Tłumaczył, że to nie są wielkie koszty, tylko trzeba postarać się o podkładki pod śruby. Niech sobie frajer sam wkręca. Ja w tym mieszkaniu nie muszę nic robić. To nie jest moja kwatera i ja tu czynszu nie płacę.

Wczoraj palant zreperował lampę w łazience, bo było mu za ciemno do golenia. Swoją drogą mieszka tu już cztery dni. Matka mówi, że pojutrze wyjeżdża. Wszedłem, zerwałem sznurek i zrobiłem tak, jak było. Ja tu zmian nie potrzebuję. Znowu miał za ciemno do golenia. Rzygać się chce. Tłumaczył, że podłogę w przedpokoju można bardzo prosto naprawić. Pokazywał, jak się reperuje popsute kontakty. Na cholerę mi to. Jutro będę u ojca, to mu trochę opowiem o tym gościu. Teraz matka czepia się mnie na każdym kroku. Śmieci niewyrzucone. Nie sprzątnąłem po

śniadaniu. Niepozmywane. Chyba tego nie wytrzymam. Ten frajer ją po prostu buntuje. A było tak dobrze.

Wczoraj fagas wyjechał. Nareszcie przyjdą spokojne chwile.

Od kilku dni chodzę do pracy i skończyło się gadanie. Teraz śniadanko na stole, o śmieci nikt nie pyta. Robota cienka, w drukarni, ale stara dała mi spokój. Życie nie umierać. Mam drugą zmianę. Przychodzę wieczorem. Kolacja na stole. Nie sprzątam, bo nie muszę. Pracuję. Skok i do komputerka. Mam tu sporą klikę na czacie. Po dwunastej oglądam swoje gorące strony, a o trzeciej w kimono. Poprawiło się. Zawsze rano świeże bułeczki na stole. Matka się stara. Chyba jej odpalę ze cztery stowy na otarcie łez. I muszę z nią porozmawiać. Ktoś jej podsunął pomysł sprzedaży mieszkania. Niby za duże. A gdzie ja będę mieszkać? Iść na swoje i płacić czynsz? To nie jest dobra idea. Tak jak jest, jest dobrze i tak ma zostać. Gruntownie jakoś leci i o to przecież chodzi.

ZDARZA SIĘ

To była bardzo sympatyczna brunetka, trochę po trzydziestce. Zgrabna, o ciepłym spojrzeniu. Mieszkała naprzeciwko. Często widział ją siedzącą na balkonie z książką w ręku. Mieszkała z przyjacielem, może z mężem. Wysoki blondyn wyjeżdżający codziennie rano wielkim mercedesem. Szczęśliwa para, tyle że bezdzietna. On miał dzieci. Dwóch synów. Jerzy skończy w przyszłym roku czterdzieści, a Sławek czterdzieści trzy lata. Żona zmarła kilka lat temu. Przemineło z wiatrem.

Co robi emeryt? Wygląda przez okno, obserwując otoczenie. To i wyglądał. Cieszył się tą młodą parą. Nie wnikał w ich życie, ale śledził rytm czasu i przebieg wypadków. Oboje pracowali. On wyjeżdżał autem o siódmej trzydzieści, a ona wychodziła kwadrans po ósmej. Prawdopodobnie dojeżdżała do pracy metrem. O siedemnastej wracała z powrotem. Często z małą torbą pełną zakupów. Raz w tygodniu, w piątek, udawali się razem do sklepów. Oczywiście samochodem. Potem wysoki blondyn wnosił na górę torby wypełnione spożywczymi artykułami. W sobotę młoda para wychodziła na spacer do pobliskiego parku, a wieczorem szli gdzieś z wizytą albo do teatru, bo on miał wtedy na sobie ciemny garnitur, a ona zawsze nową kreację. Obserwował ich z satysfakcją. Co można robić, mając na karku siedemdziesiątkę. Gdyby był młodszy, to ho, ho. Wtedy pogadałby sobie z tą czarnulką. Gdzie te czasy. Minęły bezpowrotnie. Żona nie żyje. Dobra była kobieta. Długo chorowała. Przeszło dziesięć lat. To był trudny czas. W małżeństwie nie układało się idealnie. Związek istniał tylko dzięki dzieciom, a jak synowie poszli z domu, to każde z nich wybrało własną drogę. Mieszkali co prawda pod jednym dachem, ale to było wszystko. Dopiero, kiedy stwierdzono u niej stwardnienie rozsiane, spotkali się znowu. W obliczu śmiertelnej choroby wybaczyli sobie i zapomnieli o uchybieniach małżeńskich. Patrzył bezradnie, jak powoli gaśnie płomień życia kobiety, którą przecież kochał. Opiekował się nią do końca. Zmarła na wiosnę we własnym łóżku. Nie miał serca oddać jej do szpitala. Lekarz stwierdził zgon, a on godzinę później zapalił w pokoju żony świece i tak przesiedział w ich płomieniu całą noc. A potem przyjechał karawan i to był już koniec. Potem odbył się pogrzeb, którego za bardzo nie pamiętał. Zresztą o wszystko zatroszczyli się synowie. Ach, co tam. Życie biegnie i tak dalej do przodu i trzeba się cieszyć tym, co jest. Teraz było lato. Śpiewały ptaki, a kasztany na ulicy kwitły piramidami kwiatów. Młoda para z naprzeciwka wyszła właśnie na spacer. Boże, żeby można było cofnąć czas. Siedział tak w oknie, ciesząc się szczęściem swoich sąsiadów.

Kilka dni później zauważył zmiany. Młody blondyn przestał wyjeżdżać do pracy. Może był chory? Niepokojące. A może to tylko jakaś zwykła dolegliwość? Grypa albo przeziębienie? Ona też przestała rano wychodzić do pracy. Pewnie musi go pielęgnować. Po tygodniu wszystko z pewnością minie i będzie jak dawniej. Sytuacja nie wracała jednak do normy. Młoda kobieta wychodziła od czasu do czasu na balkon. Trzymała w ręku chusteczkę. Musiała płakać, bo przykładła ją często do oczu. To chyba było coś poważnego. Może zapalenie płuc, albo...

Przeznaczenie bywa często bezlitosne. Tak, jak w jego przypadku. Historia kołem się toczy. Może jednak nie jest tak źle.

Kiedyś podjechał nawet pod dom firmowy samochód pobliskiej apteki. Goniec przywiózł lekarstwa. Mijały kolejne dni. Patrzył z niepokojem, przerażającym się w przerażenie, jak gaśnie szczęście z naprzeciwka. Przecież było pięknie i dobrze. Dlaczego świat jest taki okrutny? Pewnego dnia zobaczył w jej mieszkaniu płomień wielu świec. Nie mógł rozróżnić poruszających się postaci. Przybyło sporo osób. To pewnie już koniec. Pożegnanie. Słyszał dochodzące przez uchylone okno ciche tony muzyki klasycznej. Beethoven. Może to była właśnie ulubiona muzyka zmarłego. Koniec. Nigdy więcej nie zobaczy tej szczęśliwej pary, cieszącej się życiem. Nigdy więcej. Mdlilo go w dołku. Wypił kieliszek koniaku i obserwował dalej zza firanki przebieg wypadków. O drugiej w nocy zgasła ostatnia świeca. Zapadła cisza. Jak ona sama daje sobie radę? Nie jest łatwo odnaleźć się w takim nieszczęściu. Może przejść na drugą stronę ulicy i zaoferować pomoc? Ot, posiedzieć w milczeniu razem z kobietą dotkniętą nieszczęściem. Ale przecież jej nie zna. No i co z tego. Powie jej, kim jest. Ostatecznie nie ma wyglądu naciągacza. Elegancki starszy pan koło siedemdziesiątki. Trzeba coś zrobić. Nie mógł tego tak zostawić.

Następnego dnia podjechał karawan. Długa limuzyna z zasłoniętymi oknami. Z samochodu wysiadł młody mężczyzna. Nie, tego było już za dużo. Cofnął się od okna. Nie mógł na to patrzeć. Takie nieszczęście. Teraz włożą go do trumny, zniosą na dół i koniec. Kres kolejnego życia. A przecież mogło być inaczej. Może byłby świadkiem szczęśliwych narodzin. Może byłoby mu dane obserwowanie rozkwitającej, cieszącej się dziećmi rodziny. Świat jest okrutny. Bezlitosny. Poczul bezsilną wściekłość. Musi coś zrobić. Jest winny tej młodej osobie przynajmniej kondolencje. Był świadkiem szczęścia. Teraz jest świadkiem nieszczęścia. Tego nie można tak zostawić.

Dwa dni później nadarzyła się okazja. Czekał tego dnia tak długo, aż zauważył jak weszła, kilka domów dalej, do piekarni. Wiedział, że zawsze w czwartki kupuje tam pieczywo. Od tego straszego nieszczęścia minął już przeszło tydzień. Czas goi rany. Powie tylko kilka wyrazów współczucia. Dogonił ją za rogiem.

– Przepraszam panią!

– Tak?

Patrzyła na niego swoimi ciemnymi oczami. Na twarzy nie było widać śladów wyczerpania. Widocznie dobrze zrobiony makijaż zatarł troski. Ubrana była w jasny kostium. Pewnie, po co afiszować się z nieszczęściem, chodząc w czerni.

– Ja bardzo panią przepraszam. Nazywam się Strzelecki i mieszkam tu naprzeciwko. Wie pani, ja zawsze cieszę się szczęściem innych, ale i w nieszczęściu trzeba czasem mieć odwagę powiedzenia kilku słów.

– Przepraszam, nie bardzo rozumiem, o co panu chodzi. O jakim nieszczęściu pan mówi?

Zaczerpnął głęboki oddech.

– Chciałem pani okazać najszczerze wyrazy współczucia. Proszę przyjąć z mojej strony kondolencje. Jest mi niezmiernie przykro.

Stała przed nim taka drobna i bezbronna. Jak ona musi cierpieć i jaka jest dzielna. Ani śladu łez. Mocny charakter. Mogłaby być jego córką.

Oczy kobiety stawały się coraz bardziej okrągłe. To ból. Ból duszy. Znał dobrze to uczucie.

– Ja, proszę pana, naprawdę nie wiem, o czym pan mówi. Kondolencje? Pan składa mi kondolencje?

Niezlomna dusza. Chciała zapomnieć o nieszczęściu. Zasypać popiołem. Wspaniała kobieta.

– Tak, proszę pani. Byłem duchem razem z panią, kiedy stojąc na balkonie, płakała pani, będąc przecież w sytuacji bez wyjścia. Tak chce czasem przeznaczenie. Los jest często okrutny.

– Ja? Płakałam? Czy pan przypadkiem nie bierze mnie za kogoś innego?

Trochę się speszył, ale musiał jej to powiedzieć.

– Przed dwoma tygodniami wychodziła pani często na balkon, płacząc. Zrozumiałe i ludzkie. Pani przyjaciel, czy też mąż, leżący w ciężkiej chorobie. Sytuacja bez wyjścia. Też bym płakał. To pomaga w trudnych chwilach.

Patrzyła na tego eleganckiego starszego pana, składającego jej nagle kondolencje. Tu coś się nie zgadzało, ale on nie wyglądał na naciągacza. Mówił szczerze i otwarcie, nawet ze współczuciem. Odejść, czy wyjaśnić sprawę?

– Ma pan na myśli – zapytała z wahaniem – mojego Eryka, wysokiego blondyna, z którym mnie pan widział?

– Tak, tak – potwierdził gorączkowo.

– I składa mi pan kondolencje z racji jego zgonu?

– Tak, właśnie tak.

– To jest więcej niż makabryczne. Skąd przyszedł panu do głowy taki pomysł! Teraz pana poznaję. Pan mieszka tu zaraz naprzeciwko. Jak się przed paru laty wprowadziliśmy, to już pan mieszkał. Proszę pana, Eryk wyjechał na miesiąc w delegację do Londynu i cieszy się dobrym zdrowiem.

– Co, proszę? – wybełkotał. – Jak to, przecież płakała pani na balkonie, sam widziałem.

– Przed dwoma tygodniami miałam zapalenie spojówek. To fakt. A pan myślał, że ja płaczę?

– Tak. Tak myślałem.

Żal jej się zrobiło tego siwego pana. On nie robi sobie żartów. On naprawdę tak myśli.

– A potem w pani pokoju paliły się świece i słychać było muzykę Beethovena. Myślałem, że pani żegna w ten sposób swojego ukochanego.

– Nie, proszę pana. To było party z muzyką klasyczną. Spotkaliśmy się w gronie moich starych przyjaciół. Przecież nie mogę siedzieć cały miesiąc sama w domu.

Biedny staruszek. Myślał, że spotkało ją nieszczęście. Ostatecznie szlachetny gest.

– Widziałem jeszcze karawan pod pani oknem.

Tego było już za wiele. Ogarnęła ją niepohamowana wesołość. Parsknęła śmiechem i nie mogła przestać. Chichotała tak głośno, że zaczęli się im przyglądać przechodnie.

– Wie pan, ale numer. Ha, ha, ha! Ja pana bardzo przepraszam, ale nie mogę się opanować. To był mój kuzyn, który pracuje, jako kierowca, w zakładzie pogrzebowym. Że go akurat wtedy licho przyniosło. Ha, ha, ha! Nie do wiary!

Patrzył na nią i nagle zaczęła go też ogarniać fala wesołości. Co za splot okoliczności. A on, siedząc w swoim kącie, snuł scenariusze nieszczęścia i pogrzebał swojego sąsiada, który nadal cieszy się dobrym zdrowiem.

– No to wyszedłem na idiotę. Ale w sumie to się cieszę. Dzięki Bogu, wszystko w porządku. Właściwie zrobiłem pani makabryczny dowcip. Ha, ha, ha!

– Zrobił pan. Hi, hi, hi! Muszę napisać do Eryka. Chyba spadnie z krzesła. Ha, ha, ha!

Stali we dwoje na ulicy, śmiejąc się serdecznie i szczerze.

– Czy mogę, w ramach przeprosin, zaprosić panią na kawę? Tu zaraz jest taka mała kawiarenka.

– Wiem, znam ją. Tam można zjeść świetne bezy. Jak mi pan poniesie, za karę, torebkę z pieczywem, to pójdziemy na kawę. Nie, czegoś takiego jeszcze nigdy nie przeżyłam. Ale karawan był. I świece też. To fakt. Ha, ha, ha!

– No właśnie. Człowiek uczy się całe życie. Należy zawsze prawidłowo interpretować zdarzenia i nie dać się ponosić fantazji. To był mój błąd. Stary a głupi. Ha, ha, ha! Ale pani się nie gniewa?

– Nie. Zdarza się. To będzie chyba tu. Ja piję kawę ze śmietanką i z cukrem. A pan?

K r z y s z t o f K a m i e ń s k i

POWRÓT NA ŚLĄSK
(Zdarzenie prawdziwe)

Dwunastego sierpnia dwa tysiące jedenastego roku wracałem na Śląsk z Podlasia, swoich stron rodzinnych, dokąd przyjechałem trzeciego sierpnia. Od rodziny i przyjaciół wracałem do żony. W walizie na kółkach miałem sześć kanapek, litr soku jabłkowego i dwa kawałki kiełbasy swojskiej od starszej siostry Kazi, u której miałem swoją podlaską *bazę* i od której startowałem w drogę powrotną.

Przed dziesiątą pojechałem na dworzec kolejowy, wsiadłem do pustego przedziału w pustawym wagonie, zająłem miejsce przy oknie, przodem do kierunku jazdy i o dziesiątej trzydzieści osiem ruszyłem do Warszawy Centralnej. Zanim zdążyłem zdecydować, czy z samotności mam się cieszyć, czy smuć, do przedziału weszli dwaj młodzi mężczyźni bez bagaży, zapytali, czy są wolne miejsca, co pokwitowałem gestem wskazującym na pusty przedział, i usiedli po drugiej stronie okna. Po kilku minutach milczenia jeden powiedział:

– Wiesz, słyszałem ostatnio dobry kawał.

Drugi spojrzął na niego z oczekiwaniem, pierwszy więc powiedział:

– Na pogotowie dzwoni kobieta i prosi o przysłanie karetki pod wskazany adres. – Co się stało? – pyta dyspozytorka. – Mój mąż upadł na chodniku, trzasnął łbem w cement i ma chyba wstrząśnienie mózgu. – Skąd pani wie? – pyta dyspozytorka. – Pani! On mi pierwszy raz od dziesięciu lat powiedział, że mnie kocha, i to trzy razy! – Natychmiast wysłałam karetkę – zakończyła rozmowę dyspozytorka.

– Dobry kawał! – pochwalił drugi, śmiejąc się niezbyt głośno i nie za szczerze. Ja uśmiechnąłem się dyskretnie.

Po kilku chwilach pierwszy znowu przerwał ciszę:

– O, Niewodnica! Wyobraź sobie, że Jerzy Urban ma tu rezydencję i kiedy ją urządził, kazał doprowadzić do niej drogę asfaltową, a przy okazji – i do plebanii, za co proboszcz chwalił go do końca swojego tu urzędowania.

– Jakiś uczciwy ksiądz – podsumował drugi.

Mnie Niewodnica kojarzy się z przypuszczeniem, że tu w lipcu czterdziestego pierwszego roku Niemcy rozstrzelali mego stryja, Henryka Sienkiewicza.

Wkrótce była stacja Łapy, gdzie moi sąsiedzi wysiedli. W pobliskim Krzyżewie w latach sześćdziesiąt – sześćdziesiąt dwa pracowałem jako nauczyciel w Rocznej Szkole Rolniczej, co miłe wspominać. Absolwentka tej szkoły, Halina Kalisiewicz, była uczennicą szkoły cyrkowej w Jelinku, była na stacji Łapy bufetową. Pamiętam, jak przy stacji odsłaniano pomnik twórcy Polskiej Partii Robotniczej i pierwszego I sekretarza jej Komitetu Centralnego, Marcelego Nowotki, a ludzie krzykali: *Oddaj nam ojca, brata, syna!* A potem często ktoś nocą malował pomnik czerwoną farbą. Po roku osiemdziesiątym dziewiątym zamknięto tu, zbudowane za *komuny*, Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego i cukrownię.

Zostawszy znowu w pustym przedziale, wróciłem myślami do tylko co ukończonej wizyty na Podlasiu. Już trzeciego sierpnia, po powitaniu, rozpakowaniu się i kolacji u siostry Kazi i szwagra Mariana Dąbrowskich, odwiedziłem starszego przyjaciela, znanego pisarza białoruskiego i polskiego, Wiktora Szweda, który mieszka w sąsiednim bloku. Z góry zaznaczam, że wszystkim odwiedzonym osobom dedykowałem swoją książkę, tom opowiadań „One i oni”, a gdzie trzeba dodawałem czekolady, kwiaty, a nawet stugramówki czeskiej jałowcówki. Dostawałem też różne prezenty, przeważnie książki.

W czasie dwóch następnych dni miałem trzy wizyty rodzinne: u stryjecznej siostry Zofii i Wincentego Salmanowiczów, u ciotecznego brata Zenona i Stanisławy Mieńków i u wujenki Wandy Radulskiej. Byłem u *narzeczonej* z tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku, Wandy z Brzostowskich Dziecioł, u krypniaka – kolegi z podstawówki i liceum, Jerzego – *Irtasa* Purzeckiego, kiedyś szybownika, spadochroniarza i pilota, u dyrektora Archiwum Państwowego, Marka Kietlińskiego, który kiedyś pomógł mi nawiązać kontakt z Archiwum Historycznym w Petersburgu, oraz u piszących przyjaciół, z których Jan Leończuk jest dyrektorem Książnicy

Podlaskiej (dałem dla niej dwa dodatkowe egzemplarze), a Janusz Koronkiewicz zawiózł mnie do Łazisk w Puszczy Knyszyńskiej, gdzie w lecie mieszka pochodzące z Krypna zaprzyjaźnione z nami małżeństwo, Alicja i Jurek Smółkowie, a następnie do Supraśla, gdzie zwiedzaliśmy muzeum ikon. Zjadłem też obiad w Barze Słonecznym, który pamiętam od czasów nauki, w latach pięćdziesiąt pięć – pięćdziesiąt siedem, w białostockim Studium Nauczycielskim. Dziesiątego po południu i jedenastego odwiedziłem dwie siostry stryjeczne: Łucję Sokołową z córką Joanną i Ewę ze Sławomirem Kantorów, przy których mieszka stryjenka Regina, wdowa po moim ojcu chrzestnym Piotrze. Byłem też u zaprzyjaźnionego piszącego małżeństwa, Ireny i Kazimierza Słomińskich, w którym mąż jest redaktorem kwartalnika Nauczycielskiego Klubu Literackiego – „Najprościej”. Nie zapomniałem o koleżdze ze Studium Nauczycielskiego i jego żonie – też z SN-u, Piotrze i Teresie Wróblewskich. Zaniósłem książkę Zdziśkowi Sienkiewiczowi, synowi *Taika* z Krypna, który okazał się wobec mnie bardzo gościnnie, gdy zaczynałem pracę w Państwowym Gospodarstwie Rolnym w Chobotkach. Wysłałem sześć widokówek z pozdrowieniami na Śląsk i jedną – do Stanów.

Nareszcie Małkinia, stacja prawie w połowie drogi między Białymstokiem i Warszawą. Skromny budynek stacyjny z lewej przypomina mi rok sześćdziesiąty, gdy w niedzielę trzydziestego pierwszego lipca z siedmioma kolegami jechałem z Lublina, gdzie trzy miesiące byliśmy w rezerwie, i w Małkini mieliśmy dwugodzinną przesiadkę. Zaszliśmy do pustego bufetu, z ogromnym stołem dębowym obstawionym takimiż ławami, akurat w chwili, gdy bufetowa wbijała kran w beczkę z piwem. Pierwszy z nas kupił osiem dużych piw, które znikły błyskawicznie w spragnionych gardłach. Potem zrobił to drugi, trzeci – aż do końca. Każdy więc kupił osiem piw i osiem wypił. Przypomniała się też gadka, jak to car kazał zbudować linię kolejową Warszawa – Białystok, a inżynierowie, za opłatą po pięć tysięcy rubli od różnych miast, na przykład Siemiatycz, omijali je pięciokilometrowym łukiem, a linia kolejowa, poprowadzona przez Siedlce, osiągnęła prawie dwukrotną długość. Niezadowolony z tego car kazał poprowadzić linię prościutko z Warszawy do Białegostoku, z małym odchyleniem w Małkini właśnie. W czasie wojny w pobliżu Małkini był jeden z najstraszniejszych obozów zagłady w Treblince.

Pożegnawszy się z Małkinią, wróciłem do wspomnień z pozostającego coraz bardziej za mną Podlasia. A więc Krypno, moja wieś rodzinna, gdzie szóstego i siódmego byłem gościem córki Dąbrowskich, Anki i Waldka Kwiatkowskich. Koło ich domu obejrzałem ruiny dopiero co zburzonego naszego domu, w którym mieszkałem w latach czterdzieści siedem – pięćdziesiąt dwa, a potem wracałem z miejsc pracy aż do śmierci matki w dziewięćdziesiątym piątym roku. Anka zawiózła mnie do swojej zamężnej córki Emilki i do Rudy, rodzinnej wsi mojej matki, gdzie z dziećmi mieszka wdowa po moim jedynym *rodzonym* wujku Franciszku, a jednocześnie koleżanka z podstawówki, Helena z Ciupów Chodorowska.

W Krypnie odwiedziłem swojego rówieśnika, Mamerta – *Merka* Olkowskiego, kolegę z podstawówki Mieczysława Kamińskiego i koleżanki: Jadzię z Gawęłków Dzierżanowską, Helę z Sienkiewiczów Kupiec, Krysę z Cybulków Pietrzycką i Jankę Elę ze Smółków Józwicką, koleżankę również z liceum; zaprzyjaźnioną kierowniczkę biblioteki gminnej Bogumiłę – *Boguskę* Mieńkową (dla BG dałem dwa dodatkowe egzemplarze), która jako panna mieszkała u moich rodziców i przysyłała mi egzemplarze „Krypniańskich Wieści”, oraz księdza proboszcza Szczepana Zagórskiego, który wydał moje dwie książki, a teraz dał mi dwa egzemplarze moich „Wojennych wspomnień”. Zapaliłem dziesięć zniczy na grobach rodziny, przyjaciół i nauczycieli, odbyłem spacer na pełną wspomnień Brzezinę, a siódmego, w niedzielę, byłem na odpuszcie z okazji Przemienienia Pańskiego, kupiłem jedenaście makowników oraz monetę z herbem gminy Krypno i obrazem Matki Boskiej Krypniańskiej. Spotkałem redaktorkę naczelną „Krypniańskich Wieści”, Barbarę Pacową i jej męża Tomasza, twórcę muzeum „Pacowa Chata”. Powiedzieli, że „Krypniańskie Wieści” przestały się ukazywać.

Ósmego i dziewiątego byłem w Mońkach gościem młodszej siostry Haliny i Andrzeja Smółków oraz rodziny ich syna Wojtka, który dał mi butelkę wspaniałego samogonu zaprawionego aromatem do ciasta, zawiózł do poety ludowego Józefa Grochowskiego, który dał mi płaskorzębę przedstawiającą diabła, do historyka – regionalisty, autora kilku książek, Arkadiusza Studniarka, do koleżanki, z którą w pięćdziesiątym trzecim roku zaczynałem *kariere* nauczycielską w Klewiance, Bożeny z Gebertów Wroceńskiej, do biblioteki powiatowej, gdzie dałem książkę kierownicze

Wiesławie Filipkowskiej, i do sklepu mleczarni, gdzie kupiliśmy wspaniały w smaku ser. Sam trafiłem do koleżanki z ogólniaka, Stanisławy z Waszkiewiczów Pełszyńskiej. Byłem też na pięknie prowadzonej działce Smółków.

Dziesiątego przed południem byłem w Knyszynie. Odwiedziłem dwie rodziny braci ciotecznych, Jerzego i Wiesława Rozków, kolegę z miejscowego ogólniaka, Stanisława Mamerta Wandalego, wspaniałego gawędziarza, którego i tym razem nie zdołałem namówić na spisywanie wspomnień, oraz redaktora „Nowego Gońca Knyszyńskiego”, Krzysztofa Bagińskiego, który przysłała mi egzemplarze swojego miesięcznika.

Ze wspomnień wróciłem do rzeczywistości, gdy pociąg wjeżdżał na dworzec Warszawa Wschodnia. Jeszcze kilka minut i oto lądowałem już na dworcu Warszawa Centralna, skąd kilkanaście minut po czternastej miałem pojechać do Katowic.

Gdy na peronie zobaczyłem, ilu ludzi czeka na pociąg katowicki, żałowałem, że nie przesiadłem się na Warszawie Wschodniej. Naturalnie, do pierwszego wagonu, jak najbliższej lokomotywy, bo w Katowicach miałem na przesiadkę tylko szesnaście minut, a pociąg mógł się spóźnić. Tłum pasażerów czekał mniej więcej pośrodku peronu, a pociąg pojechał do jego końca. – *No, no* – pomyślałem – *dowcipny z tego maszynisty facet, bawi się z pasażerami. A może – zreflektowałem się – po prostu nie zdążył wyhamować. Może jaki niedoświadczony młokos.* Ludzie rzucili się za pociągiem, a ja za nimi. Doszedłem do początku pierwszego wagonu, wszedłem do środka, a że ludzie stali na korytarzu, zacząłem iść do tyłu. Drugi wagon był pierwszej klasy i miał przedziały raczej pustawe. Doszedłem do jego końca, a gdy się przekonałem, że i w trzecim wagonie panuje ścisk, zatrzymałem się tam. Przede mną stał jakiś młodziak, a obok niego dorodna dziewczyna, ubrana dosyć pstrokato, z ogromnym plecakiem i twarzą rozciągniętą w uśmiechu. Zacząłem z nimi rozmawiać. Młodzieniec powiedział, że jest z Piotrkowa Trybunalskiego i wraca do domu, a dziewczyna – że jedzie na zbiórkę, skąd grupa pielgrzymów pójdzie do Częstochowy, dokąd mają dojść piętnastego sierpnia, w dniu Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Zacząłem żartować, że idzie zapewne w intencji znalezienia kandydata na męża, czego dziewczyna nie prostowała. Kiedy rozboleły mnie nogi, zacząłem się rozglądać i ze zdziwieniem zauważyłem, że pośrodku korytarza pierwszej klasy jest wolne siedzenie odchylane od ściany, a obok niego stoi kobieta, co mnie zadziwiło jeszcze bardziej. Zapytałem ją, czy siedzenie jest wolne, a gdy potwierdziła, poprosiłem, by je zatrzymała dla mnie. Jakoś się do niej dopchałem i usiadłem, a kobieta powiedziała, że gdy przejdą konduktorzy, to ona usiadzie w przedziale pierwszej klasy. Konduktorzy wkrótce przeszli, ale ona pozostała na korytarzu, potem przecisnęła się do jego końca i zatrzymała się przy przejściu do pierwszego wagonu. Po piętnastej, bardziej z nudów niż z głodu, zjadłem dwie kanapki i popiłem sokiem jabłkowym. Za Kolaszkami z ruchomego barku kupiłem kawę, a że *barman* nalał mi jej z *czubem*, plastikowy kubeczek był przepełniony i kawa się rozlewała, parząc mi palce. Wtedy ktoś poradził, żebym ją wypił w przedziale. Tak zrobiłem. Usiadłem wygodnie przy drzwiach i wypiłem kawę duszkiem, by jak najszybciej opuścić nielegalnie zajmowane miejsce.

I dobrze zrobiłem, bo kiedy wyszedłem na korytarz i chwyciłem rączkę walizki, usłyszałem stuk, a raczej grzmot połączony z szarpnięciem, i poleciałem szczupakiem do przodu. Usłyszałem dudnienie kół po podkładach i wiedziałem, że to katastrofa. Nie bałem się wcale, tylko myślałem, żeby nie rozbić głowy o coś twardego. Wagon się przechylił w prawo i zatrzymał się. Chciałem wstać, ale ktoś na mnie leżał. Tak było w całym korytarzu. Obok mnie z prawej strony zobaczyłem banknot dziesięciozłotowy i monetę pięciozłotową. Wziąłem je myśląc, że to reszta za kawę, bo płaciłem dwudziestką. Gdy podnieśli się wszyscy za mną, wstałem i ja – ktoś mnie podtrzymał. Wychodziliśmy z wagonu. Widziałem w przedziałach plamy krwi na ścianach i stolikach pod oknami. Ktoś powiedział, że zderzyły się dwa pociągi. Po wyjściu na torowisko zobaczyłem naszą lokomotywę stojącą w poprzek toru i oderwany od niej i naszego wagonu pierwszy wagon leżący na prawym boku. Pozostałe cztery wagony były nachylone w prawo. Wzdłuż wagonów leżały przewody wysokiego napięcia, rozgraniczając torowisko na dwie części. Nasza część była wąska, trzeba więc było przejść przez kable. Nie wiedzieliśmy, czy były one pod napięciem i jak je przejść. Pomyślałem, że przez spodnie prąd mnie nie porazi i przeszedłem. Wszyscy więc zaczęli przechodzić i przenosić swoje bagaże. Zaczęliśmy oglądać, co się stało. Koło lokomotywy leżał ktoś martwy, a między nią i pierwszym wagonem – jęcząca kobieta. Po chwili dobiegł do niej

pasażer z końca pociągu – lekarz, obejrzał ją i powiedział: – *Leż spokojnie, nie ruszaj się, będziesz żyła.* Z pierwszego wagonu pasażerowie wychodzili oknami. Obejrzałem zbitą i trochę spuchniętą z wierzchu lewą dłoń, podrapaną w kilku miejscach do krwi. Chciałem zobaczyć, kiedy zdarzyła się katastrofa, ale zegarek miałem przekreślony cyferblatem do ręki i rozbite szkiełko, które w kilku miejscach poraniło skórę. Nie czułem żadnego bólu, co mnie trochę dziwiło. Zegarek zatrzymał się o szesnastej dwanaście, a że troszeczkę się śpieszył i od wykolejenia do zbitia szkiełka też upłynął jakiś czas, katastrofa musiała się zdarzyć około szesnastej dziesięć. Poprosiłem stojącego obok jednego z towarzyszy niedoli, by *wykręcił* nasz numer telefonu, a kiedy to zrobił i odezwała się Usia, powiedziałem jej, że mój pociąg zjechał z szyn, ale jestem cały i zdrowy, tylko mam trochę zbitą i spuchniętą lewą rękę. I że postaram się jeszcze dzisiaj wrócić do domu.

Miałem w bagażu sporo różnych cukierków, dawałem je więc ludziom jako cukierki antystresowe. Niestety, nie starczyło dla wszystkich. Gdybym nie dawał ich mężczyznom, starczyłoby dla wszystkich kobiet. Widziałem kobietę, która ustąpiła mi miejsca – miała pokrwawioną twarz. Zacząłem rozmowę z najbliższym sąsiadem. Wkrótce przyleciały śmigłowce, przyjechały ambulanse pogotowia, wozy strażackie i policyjne. Wszystko to lądowało na polu, za wysoką skarpą po zachodniej stronie torowiska. Usłyszeliśmy wezwanie, by wejść na tę skarpe, przeszliśmy więc znowu kable, obeszliliśmy lokomotywę z lewej i wspinaliśmy się z trudem na strome zbocze, jedną ręką niosąc lub ciągnąc bagaż, a drugą czepiając się różnego zielska. Za skarpe było rżysko, a na nim załogi karettek pogotowia, policjanci, strażacy, strażnicy, a nawet kilku księży, w tym kapelan wojskowy i staruteńka zakonnica, która siedziała spokojnie i wszystko obserwowała. Może też była z wypadku? Na rżysku sznurami wydzielono kilka prostokątów i zostaliśmy wezwani, by gromadzić się na nich zgodnie ze stopniem uszkodzenia. Ktoś powiedział, że w pociągu był pasażer – ratownik i to on wezwał pomoc, która zjawiała się tak szybko. Zabrano ofiarę wypadku, ciężko rannych zabierały śmigłowce, lżej rannych prowadzono do ambulansów i opatrywano. Śmigłowce i karetki wracały. Kiedy zabrakło rannych, podszedłem do ambulansu i poprosiłem lekarza, by mi zdezynfekował opuchliznę, bo bałem się zakażenia z powodu drobnych ran. Lekarz to zrobił i, pomimo mojego gadania, że to nic takiego i nie trzeba, założył mi opatrunek.

Rozdawano nam wodę, a tych, którzy czuli się dobrze, zapraszano do autokarów z Piotrkowa Trybunalskiego, do których trzeba było przejść spory kawałek po rozjeżdżonym, pyłącym się rżysku. W Piotrkowie nigdy nie byłem, choć mam tam przyjaciela, znanego pisarza, Rafała Orlewskiego. Autokary zawiozły nas do miejscowości Baby. Ktoś zażartował, że gdyby zadzwonił do żony, że jedzie do Bab, pewnie by oberwał. Tam wpuszczono nas do budynku szkoły i rozdano wodę i kubeczki plastikowe. Spisano dla policji wszystkich uczestników wypadku. Dopiero teraz zaczynałem rozumieć, co się stało i że gdybym znalazł miejsce w pierwszym wagonie, mógłbym być tym zabitym. Z mężczyzną, z którym zgadałem się na torowisku, poszliśmy do pustej klasy na piętrze. Wyjąłem z walizki *koniak* i nalałem po pół kubka. Biorąc swój, ścisnąłem go za bardzo i część wonnego płynu wylała się na podłogę. Wypiliśmy za szczęśliwe ocalenie i zagryźliśmy moimi kanapkami. Mój nowy znajomy niczego do picia i jedzenia nie miał, bo jechał do narzeczonej mieszkającej przed Katowicami. Okazało się, że to honorowy dawca krwi, dziś rano oddał krew, poza tym człowiek bardzo pobożny i zachwycony papieżem Polakiem. Dałem mu „Wojenne dzieciństwo” i obiecałem przysłać „One i oni”. On dał mi swój adres. Był to Józef Kozicki z Makowa Mazowieckiego, przystojny mężczyzna w sile wieku. Gdy zaproszono nas do piotrkowskich autokarów, które miały nas porozwozić do celu, zagadnęła mnie jakaś dziennikarka z kamerzystą. Odpowiedziałem na kilka pytań. Obok mnie stał Kozicki, ale dziennikarka pytała mnie, bo miałem zabandażowaną rękę, a on nie miał żadnych widocznych obrażeń, chociaż był w kilku miejscach potłuczony.

W autokarze siedziałem obok Czczena – imama. Rozmawialiśmy – po polsku i rosyjsku – na różne tematy, ale mnie najbardziej interesowało, dlaczego Rosjanie, mając do dyspozycji wszystkie cuda techniki, z czujnikami termowizyjnymi włącznie, nie umieją błyskawicznie pokonać partyzantki czeczeńskiej. Okazało się, że Rosjanie przyjeżdżają do Czeczenii na pół roku, zarabiają wspaniale, a że chcą przeżyć i wrócić do domu z zarobionymi rublami, umawiają się z Czeczenami, że będą udawali, że walczą i mają wolę zwycięstwa. Ale ofiary, naturalnie, zdarzają się po obu stronach. Zginęli dwaj członkowie rodziny imama.

Napoczętą butelkę *koniaku* oddałem pasażerom, by mogli wypić po kieliszeczku. W jakiejś miejscowości mieliśmy przerwę w podróży, by można było w zajeździe zrobić psipsi, za jeden złoty. Wstając poczułem ostry ból lewej pięty. Gdy ruszyliśmy do Katowic, zapytałem kierowcę, dokąd ma nas zawieźć. Usłyszałem, że tylko do Katowic. A moim celem był przecież Rybnik. Musiałem więc dojechać pociągiem. Jakiś młodzieniec z komórką wyszukał w internecie, że ostatni pociąg z Katowic do Rybnika mam o dwudziestej drugiej pięćdziesiąt sześć. I na ten pociąg się spóźniłem! Kierowca piotrkowski nie znał Katowic, nikt nie wiedział, jak dojechać do dworca kolejowego, poza tym nie wiadomo, jak na przebudowywanym dworcu odnaleźć odpowiedni peron, pasażerowie więc uzgodnili, że najlepiej będzie, gdy autokar zawiezie wszystkich pod Spodek. Tam musiałem wysiąść.

Wyjście miałem tylko jedno – dojechać do Rybnika taksówką. Na szczęście postój taksówek był obok. Poszedłem tam. Kiedy jednak powiedziałem, że jestem po katastrofie, ostatni pociąg mi uciekł i muszę dojechać do Rybnika taksówką, i zapytałem, ile to kosztuje, taksówkarze zgodnie odpowiedzieli, że dwieście złotych. A ja miałem tylko jakieś sto dwadzieścia osiem. Wreszcie jeden z młodych taksówkarzy powiedział, że mnie za tyle zawiezie – i pojechaliśmy. Kiedy wjeżdżaliśmy do Rybnika, zaczął padać deszcz. Gdy dojechaliśmy pod blok, dałem taksówkarzowi wszystkie pieniądze i powiedziałem, żeby zaczekał, to mu zniosę swoją książkę. Dostałem rachunek większy od zapłaty i pożegnaliśmy się. Gdy wjechałem na drugie piętro, sąsiadka Rakowa wyszła na korytarz i powiedziała, że widziała mnie w telewizji. W domu zameldowałem się pięć minut przed północą. Dotrzymałem danego żonie słowa. Przy rozbieraniu okazało się, że mam stłuczoną lewą piętę i lekko, ale do krwi, obdartą skórę na plecach. Znalazłem w marynarce piętnaście złotych podniesione na korytarzu, z plamką krwi na banknocie, i doszedłem do wniosku, że to nie były moje pieniądze.

* * *

Nazajutrz rano, w sobotę, poszedłem do pogotowia w szpitalu. Lekarz obejrzał moją rękę, piętę i plecy, kazał zrobić zdjęcia ręki, założyć pod rękę szynę gipsową i zawiesić ją na temblaku, wypisał receptę i skierowanie do przychodni urazowo-ortopedycznej, by mi tam we wtorek szynę zdjęto. I tak zaczęło się leczenie. Zrobiła się rana, opuchlizna i rana powiększały się, zjawiał się krwiak, który usunięto operacyjnie, były wizyty u lekarza, opatrunki zmieniane w szpitalu i w domu, bandaże, lekarstwa w płynie i w tabletkach, półtorej serii zabiegów rehabilitacyjnych, nie licząc utrudnień w życiu codziennym. Wreszcie zaświadczenia lekarskie, wniosek o odszkodowanie i samo odszkodowanie... Leczył mnie Rafał Kochanowski i ktoś powiedział, że moje wizyty u niego to spotkania literackie na wysokim szczeblu...

Sporo osób widziało mnie w telewizji polskiej, a jeden mężczyzna – nawet w brazylijskiej. Kioskarz z poczty głównej powiedział, że trzynastego sierpnia widział na pierwszej stronie gazety, której nazwy nie pamiętał, moje zdjęcie z zabandażowaną ręką. Szkoda, że nie zauważyli mnie decydenci z Hollywood...

Sierpień 2011 i 2012 r.

ZACHĘTA

Było sobotnie lipcowe popołudnie. Rozrzucone po niebie lekkie obłoczki łagodziły upał. Przy alei parku, zwanego Plantami, na ocienionej koroną miłorzębu japońskiego zielonej ławce przytulonej plecami i jednym bokiem do żywopłotu z głogu, siedziało młode stworzenie boskie płci żeńskiej, ładne na pierwszy rzut oka, piękne na drugi rzut, a prześliczne w oczach zakochanych. Była to naturalna blondynka (blond naturalny i sztuczny wyraźnie się różnią), z pięknie wijącymi się naturalnymi lokami do ramion, panna (młode mężatki chwalą się obrączkami) lat około dwudziestu (ale kto zgadnie wiek kobiety po wyglądzie?). Twarz bardzo regularna, z inteligentnymi (wbrew opinii o blondynkach) i nieco figlarnymi chabrowymi oczętami. Spod delikatnej opalenizny, która zakryła *mleko* policzków, lekko przebija ich *krew*. Brak śladów jakichkolwiek

kosmetyków. Kształtną figurkę średniego wzrostu okrywała wspaniała jasnozielona, usiana drobnymi kwiatami bławatków i maków, sukienka żorzetowa do kolan, z krótkim rękawkiem i przyzwoicie śmiałym dekoltem. Stroju dopełniał biały kapelusik z koronkowym rondem, biały paseczek okalający wąski stan, białe pantofelki ze średnim obcasem na zgrabnych nóżkach, leżąca na kolanach biała elegancka kosmetyczka i maleńki srebrny zegarek. Panna co chwila spoglądała na zegarek i przenosiła wzrok w głąb alei, potem wstała i zaczęła spokojnie przechadzać się wzdłuż ławki z prawdziwie kocim wdziękiem (jak to kociak), ukazując figurkę wręcz posążkową (wyraz *posągowy* byłby tu za ciężki). Uspokoiwszy się, znów usiadła.

Śliczna istota miała na imię Mirosława, dwadzieścia jeden lat i zaliczone dwa lata farmacji. Czekala na swojego *chłopaka*, który pierwszy raz się spóźniał. *Chłopak* miał na imię Jarosław, dwadzieścia pięć lat, był magistrem inżynierem i od roku pracował w poważnej firmie.

Znali się od bardzo dawna, bo Jarek był (i jest) serdecznym przyjacielem brata Mirki, ale razem wystąpili dopiero na jej studniówce, bo kiedy powiedziała, że nie ma partnera do poloneza i mazura, brat zaproponował Jarka. Trochę się go bała, bo to student, a cztery lata w jej wieku to była wielka różnica. Ale Jarek w czasie studniówki tak prowadził i tańczył nie tylko poloneza i mazura, z taką energią, ale i delikatnością prowadził tancerkę, tak zabójczo uśmiechał się pod wąsem i tak strzelał piwnymi oczami, że wszystkie dziewczyny patrzyły w niego jak w obrazek, a ich partnerzy próbowali ukrywać irytację. Mirce więc też zaczęły mięknąć kolana i też nie mogła od Jarka oczu oderwać, co on musiał zauważyć. A ona po studniówce myślała o nim coraz częściej, mimo że przed maturą czasu na myślenie za wiele nie było.

Jarek dał się zaprosić na bal maturalny, na którym oboje tak błyszczeli i zadawali szyku, że wzbudzili podziw nie tylko u dziewcząt, ale i chłopców, a nawet w prawie kompletnie kobiecym gronie pedagogicznym. Wychowawczyni Mirki powiedziała, że powinna zdawać do szkoły baletowej, co zostało powitane okrzykami *bravo!* i gromem oklasków. Mirka oświadczyła jednak, że wybiera się na farmację. Po balu była przekonana, że nie jest Jarkowi obojętna. Zaczęli ze sobą *chodzić*. Niestety, Jarek był już umówiony z przyjaciółmi ze studiów na wczasy w lipcu; oni nie dojrżeli jeszcze do wspólnego wyjazdu, a poza tym nie mieli na wyjazd pieniędzy. Studiując w rodzinnym mieście, spotykali się tylko w soboty i dni świąteczne (poza niedzielami), bo ona musiała przywyknąć do studiów i dobrze zaliczyć pierwszy rok, a on dobrze studia ukończyć. Za to w następne wakacje w lipcu (bo od sierpnia zaczynał pracować) razem – on już jako pan magister inżynier, a ona po pierwszym roku farmacji – wyjechali na wczasy pod namiotem. I pod namiotem, jak napisał pewien satyryk, *ona oddała mu się cała – prócz pewnej części ciała*. Nie wiadomo, co *zbereźny* satyryk miał na myśli, ale wyjątkiem na pewno nie były chętne i namiętne usta, bo (wbrew opiniom o oziębłości blondynek) całować się Mirka umiała i lubiła. Na więcej Jarek nie nalegał, bo chciał to przeżyć po ślubie. Właśnie – po ślubie... Tylko że minęły już dwa lata *chodzenia* ze sobą, a on o ślubie jakoś nie wspominał.

Jarek był pod każdym względem wspaniały, przynosił jej róże czerwone (symbol miłości), białe (symbol niewinności), żółte (symbol zazdrości), a nawet różowe dzikie. Mówił, że miłość do róż ma po Andersenie, ale baśni układać nie umie. Mirka niczego nie mogła mu zarzucić oprócz przysłowiowych rąk na szyję i tego, że się nie oświadcza, mimo snuty na każdym sobotnim spotkaniu planów na wspólną przyszłość. A ona nie chciała go ani popędzać, ani nawet robić aluzji i cierpliwie czekała na jego własną decyzję. Ale od pewnego czasu zaczęła myśleć, jak by tę decyzję ukochanego przyśpieszyć...

No, nareszcie Jarek ukazał się w alei i szybko się zbliżał. Szedł pewnie i energicznie, ale uśmiechał się niezdecydowanie. Był to mężczyzna wysoki, przystojny, regularnie zbudowany, z bujną ciemną czupryną i zabójczym wąsikiem na miłej twarzy. Miał na sobie białe spodnie i wypuszczoną na nie jasną koszulę z krótkim rękawem. Ona wstała, on podszedł, powiedział *Dzień dobry!*, pocałował w rękę, objął, przytulił, pocałował w usta i wręczył białą różę.

– Przepraszam – powiedział – miałem w pracy maleńką awarię i nie mogłem zdążyć.

– Nie ma za co – odrzekła z uśmiechem. – Rozumiem. Siadaj.

Usiedli i natychmiast ustalili, że dzisiaj pójdą do swojej ulubionej kawiarni przy Plantach, na ulubione lody z ulubionymi konfiturami z płatków różanych. Wkrótce tam byli, zajęli swój ulubiony stół w najdalszym kącie sali, a on zamówił i przyniósł lody, którymi zaczęli chłodzić rozpalone nie tylko upałem ciała.

Dzisiaj omawiali szczegóły wspólnego wyjazdu z namiotem, w czasie pierwszego urlopu Jarka. Na razie mieli jeszcze jedno spotkanie w parku w ostatnią sobotę lipca. Gdy już wszystko było ustalone i dogadane, a nawet zapisane, Mirka powiedziała:

– Wiesz, ostatnio miałam interesującą rozmowę.

– Z kim? – zapytał obojętnie.

– Z pewnym ciekawym staruszkiem.

– Oho, chyba cię nie podrywał?

– A właśnie, że tak. Ale zacznę od początku. Po południu pojechałam do babci Haliny, tej, co mieszka na drugim końcu miasta. Zawiozłam jej lekarstwa i przy okazji trochę posprzątałam. Przed wyjściem babcia uparła się, że da mi trochę warzyw i owoców ze swojego ogrodu. No i spóźniłam się na autobus, który uciekł mi dosłownie sprzed nosa, bo na pewno pojechał minutę za wcześniej. Następny był za pół godziny, chciałam więc wrócić do babci, ale na przystanek przyszedł mężczyzna na oko po osiemdziesiątce, powiedział *Dzień dobry!*, spojrzął na rozkład jazdy, przysiadł się do mnie i od razu zapytał, czy jestem panną. Chciałam powiedzieć, żeby się odczepił, ale spojrzałam i żal mi się zrobiło człowieka, który wyglądał na osobę sympatyczną. Odpowiedziałam więc, że, niestety, jestem jeszcze panną. A on się ucieszył i powiedział, że chętnie się ze mną ożeni.

– Ale litościwy człowiek! – zakpił Jarek. – Gotów zrobić ci łaskę!

– Postanowiłam nadal być dobra – ciągnęła spokojnie Mirka – i zapytałam, czy zamiast żony nie potrzebuje przypadkiem jakiejś prawnuczki. Odpowiedział, że postanowił jednak się ożenić, a gdy zapytałam, po co, zaczął opowiadać, że ma ponad osiemdziesiąt lat, jest chory na raka i lekarze dają mu najwyżej rok życia. A on nie ma na świecie nikogo, pomimo że był dwa razy żonaty, bo rodzina częściowo wymarła, a reszta zginęła w katastrofie drogowej. Ma willę w bardzo dobrym stanie, pięknie i bogato urządzonej, piękny sad i ogród, kilkuletni samochód dobrej marki, którym jeździ coraz rzadziej, garaż, konta złotowe, dolarowe i euro, poza tym kilkanaście kilogramów biżuterii po żonach, ale nie ma komu tego wszystkiego przekazać.

– Ten sympatyczny staruszek myśli, że za pieniądze można wszystko kupić – przerwał ironicznie Jarek.

– Nie, tak nie myśli. Najpierw chciał adoptować jakąś miłą i dorzeczną pannę na wydaniu, ale okazało się to niemożliwe ze względu na jego wiek i chorobę. Umyślił więc sobie, że chciałby ostatni rok życia przeżyć u boku jakiegoś pięknego dziewczęcia, z którym by się ożenił tylko po to, by mogło po nim wszystko dziedziczyć, którego, naturalnie, nie dotknąłby, a które by się nim zaopiekowało. Dodał, że wszystko to można sprawdzić na podstawie dokumentów i przekonać się naocznie o prawdzie tego, co opowiedział. Teraz był u przyjaciela, z którym się zagadał, i wyszedł na przystanek przekonany, że autobus odjeżdża dziesięć minut później. Zapytał, co ja na to.

– Ja też jestem bardzo ciekaw, co mu odpowiedziałaś.

– Odpowiedziałam, że muszę się zastanowić, bo mam kochanego narzeczonego. A on na to, że by mnie nie tknął, a narzeczoney mógłby pilnować, czy wszystko jest w porządku. Za to po jego śmierci będziemy mieli urządzonej willę z otoczeniem, samochód z garażem, konta bankowe i masę biżuterii. Na wszelki wypadek dał mi wizytówkę. Ma piękne polskie imię i sławne, również polskie, nazwisko. A ja pytam ciebie: co mam zrobić? Jak postąpić? Z góry przyrzekam, że zastosuję się do twojej decyzji.

Jarek zamyślił się i do końca spotkania był skupiony i poważny jak nigdy. Przy rozstaniu obiecał, że podejmie decyzję za tydzień. A w sobotę zjawił się bardzo punktualnie, ubrany bardzo elegancko w szare spodnie i wpuszczoną w nie jasną koszulę w szare kraty, z wielkim bukietem czerwonych róż. Mirka zdążyła wstać z ławki, ale nie zdążyła ochłonąć z wrażenia, gdy Jarek ukląkł przed nią przy ludziach i poprosił o rękę...

A Mirka – cóż miała zrobić? – uśmiechnęła się do Jarka czy do swoich myśli i zgodziła się oddać mu rękę z całą sobą...

8.08.2012 r.

Wiesław Sienkiewicz

CZY JESTEM MĘŻCZYZNĄ?

Letnie popołudnie sprzyjało spacerom w parku. Młodszy i starsi spacerowali ukwieconymi alejami. Przy jednej z ławek stały dwa dziecięce wózki, a w nich dwoje słodko śpiących dzieci.

– Ładnie śpią, prawda?

– Ciepło, przyjemnie to i śpią.

– Moja Monika ma siedem miesięcy.

– A mój Sebastian sześć.

– Korzystam, ze spaceru, bo w domu to sprzątanie, pranie, gotowanie i tak na okrągło.

– Tak, znam to, taki to już nasz los, ale trzeba sobie jakoś radzić. Jak mój Sebuś śpi, to prasuję i oglądam telewizję. Teraz leci taki serial „Złota Miłość”.

– Wiem, wiem, piękny film, aż łzy wyciska.

– Ja też oglądam, tylko wtedy, kiedy Monisia pozwoli. Taki film mogę oglądać cały czas. Jak oni się kochają. To jest prawdziwa miłość.

– To prawda. W ostatnim odcinku Mario zdradził Estere, a ona tak go kochała. Oddała mu wszystkie pieniądze i siebie, a ten łajdak tak ją potraktował. Przecież ona zostawiła swojego męża dla niego.

– Prawda. Taki to wykorzysta i zostawi. Mężczyźni nie potrafią kochać.

– Co racja, to racja.

– Zobaczymy, co będzie w następnym odcinku. Nie mogę się doczekać.

– Ja też. To taki życiowy film. Teraz tylko przemoc i przemoc. Wolę pochodzić po sklepach niż oglądać kryminały. Są takie fajne ubranka dla dzieci. Ostatnio były koszulki z misiami.

– Ja też czasem biorę Monikę na dłuższy spacer, to zaglądam do sklepów. Teraz to jest duży wybór, nie to, co kiedyś. Do fryzjera mniejsze kolejki. Pedikiur i manikiur też można zrobić bez problemu.

– Racja, dużo się zmieniło, a ile kosmetyków. Perfumy, kremy odmładzające skórę. Maseczki owocowe.

– Pozmieniało się wszystko. Niestety, na mnie już czas. Muszę jeszcze obiad ugotować, bo moja pani wraca późno z pracy. Do widzenia panu!

– Do widzenia! A jak ma pan na imię, można wiedzieć?

– Włodek.

– A ja Cyprian.

– No to do zobaczenia, może jeszcze się spotkamy.

Mała restauracja

Przy jednym ze stolików eleganckiej restauracji siedzą dwie osoby i rozmawiając popijają piwo.

– Trzeba trochę odpocząć po pracy, no nie?

– Oczywiście, dobrze jest się odstresować, ja też tu przychodzę, a co, nie wolno mi, zapierdalam po dziesięć godzin i żeby mi piwa nie wolno było wypić.

– Tak trzymaj. Pokażemy im, kto tu rządzi. Wczoraj była walka bokserska w wadze superpółśredniej.

– Wiem, ten Ward to świetny zawodnik. Już w piątej rundzie znokautował przeciwnika. Mieć takie kopyto to jest to.

– A jaki szybki, robił unik za unikiem. Świetny zawodnik.

– Mimo wszystko to nie Kliczko. Ten to ma kopa. Jak trafi, to po walce.

– Takich jest niewielu. Są jak dobrej marki samochody. Właśnie, a jak tam twoja „beemka”?

– Mam zamiar ją sprzedać i kupić nowszy model, a ty?

- Swojej „Toyoty” na razie nie sprzedają. Dobrze mi służy. Chyba że trafię na promocję.
- Mnie też trochę szkoda tej „beemki”, ale trzeba iść z postępem. Teraz są takie fury, że jak depniesz, to dopiero jazda.
- Może jeszcze jedno piwko?
- Należy mi się.
- Masz rację, Iza. Ja też tak uważam. Nie myśl o tym. Dzisiaj jest świetny kryminał w telewizji. Będziesz oglądać?
- Wolę horrory, ale dobry kryminał też obejrzę.
- Mój Włodek woli takie sentymenty miłosne. To mięczak. Kobieta musi być twarda.
- To kończymy piwo i spadamy na film.
- Dobrze, Wera, kończymy i idziemy.

Gabinet Psychologii Rodzinnej

- Dzień Dobry! Byłem zarejestrowany do pana doktora na dzisiaj. Mogę wejść?
- Proszę. Proszę usiąść. Co pana do mnie sprowadza?
- Mam pewien problem.
- Słucham.
- Chciałem panu powiedzieć, że sprzątam, gotuję, piorę, zajmuję się dzieckiem. W wolnych chwilach chodzę do kosmetyczki. Nawet rozjaśniłem sobie włosy, żeby podobać się żonie.
- A kim jest pańska żona?
- Iza jest kierownikiem firmy marketingowej. Robi karierę, rozwija swój potencjał, a ja wychowuję dziecko i dbam o dom. Ta sytuacja coraz bardziej mnie przytłacza. Oglądam kobiece seriale i czytam damską prasę. Zaczynam myśleć jak kobieta.
- Nie może pan wziąć z nią rozwodu?
- Ale jak, mamy przecież dziecko. To jest mój Sebuś, on potrzebuje opieki. Ona by mi tego nigdy nie darowała.
- Nie może pan jej się postawić.
- A w jaki sposób? Przecież jej nie uderzę, dopiero wtedy bym sobie narobił. Dwa razy w tygodniu chodzi na siłownię, oprócz tego ćwiczy karate. Ona jest bardzo przedsiębiorcza. Czy myśli pan, że jestem jeszcze mężczyzną?
- No wie pan, nie jest chyba jeszcze tak źle, ma pan jeszcze to „coś”, co odróżnia mężczyznę od kobiety.
- Właściwie to nie.
- Jak to???
- Bo wszystko należy do mojej żony i „to” też.
- Trudna sprawa, przepraszam, ale muszę kończyć nasze spotkanie. Wie pan, trzeba po prostu walczyć i być mężczyzną. Idę teraz do kosmetyczki, potem muszę kupić piwo dla mojej żony i zrobić obiad. Reklamowali teraz takie urządzenie do depilacji nóg i skóry, radzę kupić. „Komfort” lub tak jakoś podobnie się nazywa. Przecież mężczyzna to płeć piękna. Musimy podobać się naszym damom. Dziękuję i zapraszam na następną sesję. Proszę tylko wcześniej się zarejestrować. Do widzenia.

R o m a n K o w a l e w i c z

ZAWODY W PŁYWANIU

Kuba jest już dużym chłopcem, dwa tygodnie temu skończył cztery lata. Skąd wie, że dwa tygodnie temu? Od dnia swoich urodzin dwa razy przecież zrywał czerwone kartki z kalendarza. A Kubuś pamięta, że w tygodniu jest tylko jedna niedziela, więc łatwo policzyć.

Kuba już wiele rzeczy robi sam, jedynie podczas kąpieli musi być przy nim ktoś z rodziców. Najczęściej mama. I tego piątkowego wieczoru mama też kąpała Kubusia, bo tatuś miał akurat dyżur w szpitalu...

Nagle... Wiecie, że często coś staje się nagle, nie wiadomo dlaczego i po co... A więc nagle ktoś zadzwonił do drzwi mieszkania na trzecim piętrze. Tak się złożyło, że było to właśnie mieszkanie Kubusia...

– Kubusiu – powiedziała mama – posiedź chwilę spokojnie, a ja zobaczę, kto do nas przyszedł.

– Dobrze, mam – odpowiedział ugodowo Kubuś.

I mama wyszła z łazienki, a po chwili chłopczyk usłyszał otwieranie drzwi, potem w przedpokoju rozległ się głos cioci Julii. Kuba bardzo lubi ciocię, więc szybko wyskoczył z wanny, wytarł się, jak umiał najdokładniej, założył piżamkę i wyszedł przywitać się z ciocią, która znów mu przyniosła miniaturowy samochodzik.

A tymczasem... Często pojawia się też słowo *tymczasem*, żeby było wiadomo, że będzie się działo coś niezwykłego. Więc tymczasem w łazience światło paliło się nadal. Woda też nie odpłynęła z wanny, bo Kubuś nie wyciągnął korka... Pierwsza zauważyła to Gąbka.

– Hej – zawołała do Mydła – może urządzimy zawody w pływaniu?

– Nie mam specjalnie ochoty – odparło Mydło i zapieniło się. Nie ze złości, ale po prostu ono tak się często zachowuje, a w wodzie to już zawsze... – Dopiero wyjęto mnie z wody – oświadczył kawałek mydła – i nie chcę się tam znowu pakować. A poza tym woda mi szkodzi. Chudnę po każdej kąpieli.

Gąbka jednak namawiała tak długo, że wreszcie Mydło zgodziło się i chlupnęło do wanny, zaraz po nim Gąbka. Zaczęły się zawody.

Szczoteczka do zębów, stojąca na baczność w kubeczku na brzegu wanny, uważnie śledziła przebieg pływackich wyczynów Gąbki i Mydła.

I co się okazało? O, takie pytanie też się często pojawia, żeby zapowiedzieć coś niezbyt przyjemnego. Okazało się, że Mydło w ogóle nie potrafi pływać! Bo co innego przecież, kiedy ktoś je trzyma w ręce i pociera nim o Gąbkę, a inna historia, jeśli mydło samo wskoczy do wanny.

Tak, na pewno zgadliście – Mydło znalazło się od razu na samym dnie wanny. Na pewno poczuło się jak łódź podwodna. A Gąbka? Ona zanurzyła się także pod wodę, ale tkwiła pod powierzchnią i czuła się taka ociężała... Napiła się wody i nie mogła przepłynąć ani kawałeczka.

Szczoteczka do zębów, która na początku przyglądała się poczynaniom swoich łazienkowych przyjaciół, wpadła w panikę. Postanowiła w końcu skoczyć im na ratunek. Zakreśliła się tak mocno, że stoczyła się do wody razem z plastikowym kubeczkiem, który zaczął pełnić rolę łódeczki. Szczoteczka chciała jednak zanurkować na dno wanny, aby ratować mydło, gdy w tej właśnie chwili...

Tak, racja, znowu zdarzy się coś niespodziewanego. No, właśnie, w tej właśnie chwili do łazienki weszła mama Kubusia.

– Synku, nie wypuściłeś wody z wanny, no i zostawiłeś w wodzie gąbkę i mydło. O, jeszcze kubek ze szczoteczką puściłeś na wodę.

– Mamo, to nie ja – Kuba aż krzyknął, słysząc takie niesprawiedliwe oskarżenie. Ale dorośli nigdy nie chcą uwierzyć dzieciom.

– Umyj zęby i idź już spać – powiedziała mama. Kuba wziął do ręki szczoteczkę, która jakoś wymknęła mu się z ręki i wpadła do wanny. Ale w wannie nie było już ani wody, ani gąbki, ani mydła...

Robert Gutowski

IMIONNIK ŻEŃSKI

ANNA

Istnym rajem jest mi wanna,
Gdy w kąpiele ze mną Anna.

BOŻENA

Z cichego łoża robi się arena,
Gdy z krzykiem zrzuca swe szatki Bożena.

INGEBORGA

Złapała mnie w pułapkę gibkich kończyn
czworga
Bezlitosna Ingeborga.

IRENA

Nie rozwieszajcie zasłon ani firan,
Niech świat zobaczy, co potrafi Ira.

IZABELA

Gdy mnie ktoś spyta, czy piękna jest Iza,
Odpowiem krótko: – Klęknąć i polizać!

JADWIGA

Wszyscy chłopcy lubią Jadzię –
Nim poprosisz, już się kładzie.

JOLANTA

Nawet Wenus – też bym olał,
Gdyby mnie wybrała Jola.

KLARA

Tak dobrze ars amandi zna ognista Klara,
Że się przy niej rozpali największy niezdara.

KORA

Zawsze jest pora na szybki oral!
Taką dewizę powtarza Kora.

LIDIA

Proporcje takie, że chwaliłby Fidiasz.
I werwa Pippi Langstrumpf. Oto cała Lidia.

MARTA

Serce wali, dech zaparty.
Jakież powód? Widok Marty!

MARYLA

Od czasów romantyzmu, za sprawą Maryli,
Zawsze jakiś poeta płacze albo kwili.
Znawcy przedmiotu widzą, nie bez racji,
W odtrąceniu źródło świetnej inspiracji.

MONIKA

Ma swe zasady rozważna Monika
I się za byle moniaki nie bzyka.

WIOLETTA

Choć jest z niego jurny ogier,
Bierna mu przypada rola,
Gdy znów leży na łopatkach
I znów go ujeżdża Wiola.

ZOFIA

Na sofie z panem Zofia –
Cała to Zofii p a n s o f i a.

Robert Gutowski

Tadeusz Józef Maryniak

AFORYZMY I POWIEDZENIA

Każdy ma zakodowane średniowiecze w swoim mózgu.

Częściej pies jest wierny właścicielowi niż człowiek psu.

Prawo jest po to, żeby wiedzieć, co można robić bezkarnie.

Wymiar sprawiedliwości mierzy się ludzkimi cierpieniami.

Pokażcie mi moją teczkę, a dowiem się kim byłem – powiedział były prominent.

Uśmiech wyzwala sympatię.

Prawda jest tam, gdzie jest kłamstwo, tylko znacznie głębiej.

Pieniądz jest gorszy od diabła – kusi bez przerwy.

Dobry urzędnik doskonale wie, co „piszczy w sprawie”.

Człowiek jest jak księżyc, istnieje w różnych fazach, z tym że rzadziej dąży do pełni, a częściej do nowiu.

Trudno być nikim, gdy jest się człowiekiem.

Wolę grę na scenie niż za kulisami – powiedziała pewna starsza aktorka.

Czasami gra warta świeczki kończy się zapaleniem gromnicy.

Pierwsi są tarczą dla ostatnich.

W Polsce łatwiej się upić piwem bezalkoholowym niż szczęściem.

Człowiek, podobnie jak samochód, bez hamulców stacza się.

Ten, kto przeżył Sodomę, nie tęskni za Gomorą.

Chodząc po ziemi bezpieczniej jest widzieć czubki butów niż czubek nosa.

O pewnym polityku: ma duże możliwości bycia niekompetentnym.

Wyszedł z siebie i poszedł w niewłaściwym kierunku.

Hipokryzją jest dawanie jałmużny ludziom, którzy na nią ciężko pracują.

Niestety, pełnia księżycy występuje częściej niż pełnia szczęścia.

Tak się dzieje w Polsce, że ceny nad morzem są słone, a w górach wygórowane.

Dzisiaj jedynym, który o człowieku pamięta, jest fiskus.

Nie oszczędzajmy życia na lepsze czasy.

Nawet w Stanach nie wszyscy żyją ponad stan.

„Prawda leży pośrodku”. A gdzie jest „pośrodek”? – zapytało dziecko.

Nie ma lekarstwa dla twórcy „od siedmiu boleści”.

Wszystko się robi, żeby w Polsce było więcej bezrobotnych niż dawniej partyjnych.

Jest dobrze uziemiony – wszystkie nowe prądy spływają po nim jak woda po kaczkę.

Mamy coraz więcej specjalistów od wytyczania nowych kierunków prowadzących donikąd.

Myśli podobnie jak owoce – robaczywe są najzdrowsze.

W głowie trzeba mieć mózg, a nie kamień węgielny pod własny pomnik.

Człowiekiem nieomylnym może być tylko człowiek pomyłony.

Zawsze się znajdzie powód, żeby nie powiedzieć prawdy.

Wszystko bankrutuje, oprócz polskiego
piekła.

Jestem kowalem swojego losu – kuję i kuję,
i nie mogę się odkuć.

„Teraz Polska” – a co potem?

Dzisiaj sztandar rzuca cień na niejednego
bohatera.

U niektórych poetów Pegaz produkuje tylko
obornik.

Jedyną nadzieją emeryta jest listonosz.

Zapobiegliwy ma białogłową na czarną
godzinę.

Jego myśli lewitują poniżej poziomu mózgu.

Nie jeden traci twarz, by zyskać pieniądze.

Jeden trzyma rękę na pulsie, a drugi
na spuście.

W Polsce, zanim człowiek do niczego nie
dojdzie, musi poświęcić dużo życia i pracy.

Dzisiaj człowiek jest w stanie zdeprawować
nawet diabła.

Najbardziej jadowity jest wąż Eskulapa.

Ma hermetyczną głowę, żadna myśl z niej
nie wyleci.

Dla demagoga punktem oparcia jest punkt
przywidzenia.

Cień podejrzania nawet w nocy nie opuszcza
człowieka.

Hamulce trzeba mieć w głowie,
a nie w nogach.

Trudny jest wybór, gdy w morzu są rekiny,
a na brzegu ludożercy.

Niektórzy zbrodniarze głoszą hasło:
– Nie zabijaj od razu.

Sługą może być każdy, sługusem tylko
niektóry.

Nie używajmy korzeni zła do przyprawiania
własnej pieczeni.

Kiedy człowiek wychodzi z siebie,
wtedy najszybciej może się zagubić.

Dobrobyt jest wtedy, kiedy człowiek może
mieć to, czego nie potrzebuje.

Nieznane pociąga.

Pogoda ducha rozprasza niepogodę życia.

Absurd potwierdza logikę.

Ze wszystkich adwokatów najlepszy jest
ajerkoniak.

Jest abstynentem – nie pije do nikogo.

Chodzę własnymi drogami, bo na cudze mnie
nie stać.

Biegły bada bilans, a przebiegły księgową.

Nawet błazen bez przerwy nie może się
błazić, a polityk musi.

Pan Bóg tak dużo stworzył, że człowiek
do końca świata tego nie pozna.

Chciwość nie pozwala nam cieszyć się z tego,
co posiadamy.

Dzisiaj zbyt często człowiek uczy człowieka,
jak nie być człowiekiem.

Im bardziej człowiek porasta w piórka,
tym większym staje się nietolem.

Demagog udowadnia, że istnieje to,
czego nie ma.

T a d e u s z J ó z e f M a r y n i a k

Ze zbioru: Tadeusz Józef Maryniak
Aforyzmy i powiedzenia. Tom 6.
Warszawa 2012.

Kazimierz Słomiński

A F O R Y Z M Y
(2007 – 2009)

Dzięki historii komunizmu wiemy,
ile diabłów może zmieścić się w jednej idei.

Dywanik u szefa jest po to, żeby przyjemniej
było się płaszczyć.

Teatr dziejowy ma swoich statystów
i majestatystów.

Demokracja zasłużyła na poczesne miejsce
w słowniku wyrazów nadużywanych.

Miłość własna zawsze okazuje się pierwsza.

Nie jeden frazes trzyma się na słowo
bez honoru.

Nawet kobiety nie do końca wiedzą,
czym nie grzeszą mężczyźni.

Nawet wnioski łatwiej wyciągać z kapelusza
niż z głowy.

Małe może być piękne, ale piękno
nie poprzestaje na małym.

I w pustostowie pogwizduje czasem wiatr
historii.

Od słowa do słowa nieraz odsyła się sens.

Rewolucja – to wielki niewyżyty bandytyzm.

Żywot ateisty jest krótszy o całą wieczność.

Po mowie trawie nawet osły pozostaną
głodne.

Przyśniły mi się Kamienne Tablice,
tylko że na nagrobku ludzkości.

Bałwochwalczy niełatwo zobaczyć w sobie
bałwana.

W życiu chciałoby się do czegoś dojść.
Tylko że niekoniecznie do siebie.

Tylko banki bezkarnie żyją na kredyt.

Pozycje chciałyby być ważniejsze
od przyjemności.

Estetyka lubi być mądrzejsza od tego,
co piękne.

Społeczeństwo konsumpcyjne więcej śmieci
niż trawi.

Dziura w budżecie? Aż kipi w niej
od pasożytów.

Dno kieszeni włazi ludziom w duszę.

Artystę poznaje się po kierunku błędzenia.

W kryzysie się nie przelewa. Chyba że
z pustego w próżne.

Nadchodzi cywilizacja śmietnika. Nawet
śmieć może dorwać się do władzy.

Pudło lubi rezonans.

Miłość jest ślepa, ale swoje wymaca.

Znakomitość to postać ze sfery znaku i mitu.

Nie wystarczy rozebrać piękność. Trzeba ją
jeszcze odnaleźć w sercu.

Pojęcia abstrakcyjne to błogosławieństwo,
bo nie wszystko można pojmować rękami.

Za pieniądze to i cnoty obywatelskie
puszczają.

Przed snem niektóre barany liczą pieniądze.

Listek figowy dodaje moralności posmaczku.

Z biegiem historii i konserwa się
przeterminowuje.

Częściej już słychać krakanie mediów
niż krakanie wron.

Krasnoludki sprawiają, że niejedno można
między bajki włożyć.

Lewica i prawica biorą oburącz.

Arogancja władzy: wszystko na jedną butę.

Poprzez normy nie zawsze dochodzi się do normalności.

Dokonanie żywota to najważniejsze z dokonań.

Być czy mieć? Najlepiej mieć czelność bycia sobą.

Filozofia potrafi dać kłamstwu naukowe podstawy.

Brak poczucia więzi to żadna wolność.

Rolę teraz częściej się odgrywa niż uprawia.

Aforysta przesiewa piasek mądrości na pustyni słów.

Miernota chciałaby urastać do rangi miary człowieczeństwa.

W konsumpcyjnym świecie anioły kojarzą się z tandetą.

Na poboczach dróg donikąd niektórzy odnajdują swoje miejsce.

Prawda z oczu – tyłkom lżej.

Od życia zwykle oczekuje się więcej niż jest się w stanie przeżyć.

Poeta to dureń gadający do rzeczy albo do siebie.

Dzisiaj banici to ci, którzy nie mogą powrócić do świata wewnętrznego.

Gdy człowiek cienko piszczy, to też jest sygnał czasu.

Na krawędzi przyzwoitości łatwo się naciąć.

Moda to antidotum na kompleksy wdzięku.

Biurokracja dobrowolnie nie odejdzie z kwitkiem.

Przestrzeń jest tam, gdzie można swobodnie odetchnąć pełną piersią.

Udawanie głupiego bynajmniej nie zwalnia od bycia głupim.

W ramach przyzwoitości zdarza się zamazany obraz.

Nic nie jest nam obce, póki ludzkie.

Z nędzą i nadmiernym bogactwem zawsze jest bieda.

Nie wszyscy uczą się na błędach przeżywać rozkosz.

Materializm – pozbawiając duszy – okalecza.

Historia potrzebna jest po to, żeby nie pochłonęła nas terażniejszość.

Niejednemu musi odbić, żeby mógł błysnąć.

Nie jest godzien odpuszczenia grzechów ten, kto nie grzeszy.

W polityce nawet trzy grosze pochodzą z kieszeni podatnika.

Nawet udawanie człowieka nie wszystkim się udaje.

Pogodzić się z losem można, trudniej z brakiem wygranej.

Żeby pojedynczym problemom nie było smutno, tworzą się kompleksy.

Człowiek coraz bardziej gubi się pośród rzeczy, które mu nie są potrzebne.

Gdzieś w siódmym niebie zapodziała się moja szczęśliwa gwiazda.

Łaska teraz bardziej dziadowska niż pańska.

W ziarnku piasku kiełkuje pustynia.

Świat bez fikcji byłby za bardzo szary.

Nie ma równości słodszej od wypukłości.

Koniec zdania – i sens znalazł się w kropce.

Za bezmyślnością podąża bezpomysłność.

Nie wszystkim potrzebne jest niebo, byleby była manna.

Miliardy potrzebne są do liczenia długów i Chińczyków.

Po czasach sędziów i królów przyszła pora na błaznów.

Duch czasu nie pokutuje w pałacach, tylko w szarych komórkach.

Bez mody człowiek nie bardzo by wiedział, co zrobić z golizną.

Pomimo tylu śrubek mechanizm władzy wciąż jest rozklekotany.

Za niektórymi wlecze się cień od ich ciemnoty.

Może to i bubel, ale pierwszego stopnia nijakości!

I znowu regres – garb zbyt wolno rośnie.

Mamy już granice przyzwoitości, gorzej z przyzwoitością granic.

Dzięki niektórym ustawom niektórym łatwiej się ustawić.

Dzisiaj nie ma błędnych pajaców, są tylko błędne pociągnięcia.

Bywa, że hasła zamykają ludziom dostęp do mózgów.

Linia partyjna potrafiła zastępować linię horyzontu.

Za ideą nie każdy lubi podążać pieszo.

Męty wypływają stosownie do płycizny.

W polityce zamiast poprawy obowiązuje jakaś paskudna poprawność.

Ech, ten nieoczekiwany przeskok z epoki kamienia do epoki śmiecia!

Podobno za Balzaka komedia jeszcze bywała ludzka.

Żeby mówić pełnym głosem, trzeba dopuścić do głosu ducha wypowiedzi.

Kiedy człowiek przejrzy na oczy, to czuje się już trochę przejrzały.

Szczyt władzy: wynieść się tak wysoko, żeby nie móc już nad sobą panować.

Przy własnym losie człowiek okazuje się sierotką.

Czytało to taka pasza duchowa mniej lub bardziej treściwa.

Znaki nieszczególne mówią o szpetocie duszy.

Pióropusz na głowie nie czyni umysłu bardziej lotnym.

Niejedyn sługus ciemności trafiał na śmietnik.

Zera tłuką się po rachunkach.

Tylko ludzka natura nie jest wolna od wynaturzeń.

Nie warto już wróżyć z fusów, lepiej z dodawanej chemii.

Frazesy kantują nas na wadze słów.

Oglądane maski dowodzą, że życie to niekoniecznie teatr.

Ptasie mózdzki mają się dobrze za osłoną dzioba.

Hasło dna koniecznie musi być wzniosłe.

Idea nie służy człowiekowi, tylko człowiek idei.

Wolę gorczy istnienia niż jego niesmak.

Zapatrzonym w siebie płaczą się perspektywy.

Natłok miernot nie tworzy jeszcze epoki.

K a z i m i e r z S ł o m i ń s k i

**PLENER W OSTRZYCACH (SZWAJCARIA KASZUBSKA)
23 LIPCA – 3 SIERPNI 2012**

Na warsztaty artystyczne w Ostrzycach przyjechało dwudziestu trzech uczestników, w tym z naszego klubu Irena Grabowiecka i niżej podpisana. Tym razem nie było z nami Kazika Słomińskiego, w związku z czym plener był „mało fraszkowy”, jak orzekli stali bywalcy.

Program był bardzo interesujący, i miałam wrażenie, jakby jakiś aniołek tam w górze go koordynował. Ponieważ i tematyka zgłaszana niezależnie przez osoby z różnych miejscowości, i potem zupełnie przypadkowe zapisywanie się w grafiku, kto kiedy chce występować, dziwnym trafem zgadzały się ze sobą, współbrzmiały. Na dodatek nie tylko ja opublikowałam książkę dwujęzyczną, ale i Kazik Źarski, który ponadto wspólnie z Mają Aulich przygotował warsztaty na temat przekładu: „Między poetą a tłumaczem”. Promocje naszych tomików okazały się doskonałą ilustracją owych warsztatów. Jego tomik „Listy do Emily”, żartobliwie nazwany przez plenerowiczów trójjęzycznym, zawiera trzy kolumny: w jednej są wiersze Emily Dickinson w oryginale, w drugiej – piękny artystyczny przekład Kazika na język polski, a w ostatniej – jego poetycka odpowiedź na wiersze poetki. Moja książka stanowi przykład odwrotnej sytuacji – jest przetłumaczona na język angielski.

Całość problematyki tegorocznych warsztatów artystycznych, moim zdaniem, jakby wyczuła Irena Grabowiecka, proponując zajęcia na temat: „Korespondencja (powinowactwo) sztuk”, które to powinowactwo i wzajemne inspiracje wykazała głównie na przykładzie poezji Jana Leończuka ilustrowanej malarstwem Justyny Worowskiej-Wysockiej (książka „Justyna Worowska-Wysocka Akwarele. Komentarz poetycki Jan Leończuk”), ale poparła również moją twórczością, inspirowaną muzyką (najnowszy tomik) i malarstwem (wiersze do obrazów Ani Ralickiej).

Inne tematy omawiane na warsztatach – to: „Piosenka poetycka a poezja śpiewana” (K. Źarski), „Wyznaczniki współczesnej poezji” (Zofia Grabowska-Andrijew), „Kolejne stadia powstawania tomiku poetyckiego” (M. Aulich), „Redakcja tekstów prozatorskich” (Ela Strzałkowska), „Przecinek, od którego zależy życie, czyli sprawy interpunkcji” (R. Koper). Nie zabrakło także konkretnej pracy nad tekstami, prowadzonej przez noszącą z tego powodu ksywę „Gilotyna” Marię Aulich, a wspomaganą elektronicznie przez Kazika Źarskiego. „Śmiertelną dawkę poezji” dopełniły spotkania autorskie uczestników pleneru (M. Aulich, I. Grabowiecka, J. Malcer, K. Źarski, M. Lickiewicz, R. Kantarska-Koper, T. Pniewska-Lutrzykowska, D. Lorenowicz, Z. Grabowska-Andrijew oraz proza E. Strzałkowskiej), a także prezentacja twórczości Jerzego Stachurskiego – poety, kompozytora, pedagoga – oraz członków gdańskiego klubu „W cieniu Neptuna”.

Malarze pracowali indywidualnie, jednak organizatorka pleneru Joanna Groth zaproponowała wyśmienite zabawy plastyczne dla wszystkich – malowanie na różnych materiałach (szkło, ceramika, drewno, kamień, papier). Owoce tej zabawy okazały się bardzo ładne i wszystkie znalazły się na wystawie poplenerowej w Nadleśnictwie Kartuzy. (Na marginesie – moje prace podobały się i prowokowały do pytań, dlaczego przestałam malować).

Odbyły się wycieczki po urokliwej Szwajcarii Kaszubskiej, zwiedzanie Kartuz (Kolegiata Zakonu Kartuzów, Ścieżka Dendrologiczna im. Schwengla), Muzeum Ceramiki Neclów w Chmielnie, Centrum Edukacji i Promocji Regionu w Szymbarku (Dom do góry nogami, Dom Sybiraka, Dom Trapera, Najdłuższa deska na świecie, Największy koncertujący fortepian świata, Bunkier Gryfa Pomorskiego), a także rejs statkiem „Stolem” po jeziorze Ostrzyckim, spacer na punkty widokowe („Jastrzębia Góra”, „Złota Góra”), wypoczynek na plaży, pływanie kajakami i rowerami wodnymi w dniu sportowym.

Zorganizowano stoisko plenerowe podczas Tygodnia Kultury Kaszubskiej w Kartuzach (sprzedaż obrazów i wydawnictw) oraz wystawę poplenerową w Nadleśnictwie Kartuzy.

Organizatorce Joannie Groth należą się podziękowania za zaangażowanie i umilanie nam pobytu atrakcyjnymi rozrywkami (muzyka, a nawet tańce na „Wieczorze otwarcia”, ognisko

z pieczeniem kiełbasek), spotkania z zaproszonymi gośćmi i sponsorami. Patronatami pleneru byli: Okręg Pomorski ZNP i Nadleśnictwo Kartuzy, patronat medialny: Gazeta Kartuska i Portal Gazety Kartuskiej, wspierało plener Katolickie Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcące im. JP II w Kartuzach.

Na zakończenie Ewa Żarska i ja zastąpiłyśmy jako satyryczki i wnikliwe znawczynie psychologii, wręczając każdemu uczestnikowi bardzo zindywidualizowane „Świadectwo Ukończenia Letniej Szkoły Plenerowej ZNP w Ostrzycach w roku szkolnym 2012” na wzór świadectw szkolnych klas I – III. Plenerowicze byli tak rozbawieni i zachwyceni, że długo w nocy dyskutowali, jaką formę podsumowania wymyślić w przyszłym roku na zakończenie, aż zdecydowali, że będzie to list gończy.

Pięknym podsumowaniem mojej letniej przygody ze Sztuką, a zwłaszcza z Muzyką, był wyjazd do Gdańska specjalnie na koncert ulubionego sekstetu wokalnego The King's Singers z Wielkiej Brytanii, gdzie po koncercie spotkałam się z obleganymi przez rzesze fanów adresatami i bohaterami mojej książki „Muzyka Moje Pragnienie”. Spotkanie z nimi w foyer urokliwej Filharmonii Bałtyckiej, mieszczącej się w zabytkowych budynkach dawnej miejskiej elektrowni na wyspie Ołowianka, mogłabym zatytułować „Królestwo uśmiechu”, ponieważ jeszcze nigdy nie widziałam skupionej w jednym miejscu tak ogromnej ilości radosnych, szczęśliwych twarzy, tak hojnie obdarzanych i obdarzających wszystkich dookoła uśmiechem.

Moja wyprawa była możliwa dzięki niezwykle życzliwości uczestniczek pleneru w Ostrzycach – mieszkanek Trójmiasta: Marii Korybalskiej, Eli Ciszewskiej-Wlizła, Zdzisi Ciszewskiej i Eli Strzałkowskiej, za co jestem im dogonnie wdzięczna.

Regina Kantarska – Koper

PRZYKŁADY ŚWIADECTW:

ŚWIADECTWO

Ukończenia Letniej Szkoły Plenerowej ZNP
w Ostrzycach
w roku szkolnym 2012

uczeń/uczennica

Irena Teresa Grabowiecka

Zachowanie:

Pilnie i nadaktywnie uczestniczyła w zajęciach warsztatowych i spotkaniach z ciekawymi ludźmi (poetami i plastykami), jednocześnie drastycznie łamiąc dyscyplinę spotkań integracyjnych, nie uczestnicząc w nich.

Umiejętności polonistyczne:

Z gładkich i mądrych wypowiedzi ustnych można wnioskować, że posiada umiejętność czytania ze zrozumieniem i wykorzystywania wiedzy w praktyce. Jej kwieciste wypowiedzi na temat są naszpikowane specjalistycznymi terminami, co wpędza w stan niepokoju i uczniów, i nauczycieli.

Umiejętności matematyczno-informatyczne:

Niestety, mimo posiadanych predyspozycji przez dwa lata nauki nie opanowała umiejętności korzystania z komputera, chociaż liczyć potrafi.

Umiejętności przyrodnicze:

Wybitne. Zna każdego ptaszka i każdy listek (nawet figowy).

Sprawność fizyczna:

Doskonała. Szczególnie celuje w bieganiu po górach i dolinach. Preferuje ćwiczenia fizyczne w plenerze, unikając ćwiczeń domowych.

Szczególne osiągnięcia:

Przeprowadziła dwa wybitne zajęcia warsztatowe z uroczymi pomocami naukowymi oraz pokazała kolegom, na co ją stać (wieczór autorski).

ŚWIADECTWO

Ukończenia Letniej Szkoły Plenerowej ZNP
w Ostrzycach
w roku szkolnym 2012

uczeń/uczennica

Regina Kantarska-Koper

Zachowanie:

Jest z gruntu dobra, chociaż czasami pozwala sobie na rzetelną ocenę sytuacji społecznej. Rodzinna i koleżeńska. Szczególnie lojalna w stosunku do koleżanek z tego samego fyrta.

Umiejętności polonistyczne:

Mimo tego, że jest twórcza i otwarta na różne formy literackie, wiele czasu poświęca interpunkcji, nie tolerując braku zainteresowania tąż przez kolegów.

Umiejętności matematyczno-informatyczne:

Komputera używa z radością neofity. Wykorzystuje wszystkie jego możliwości, pod warunkiem że jest to możliwość słuchania muzyki zespołu The King's Singers. W matematyce finansowej mniej niż średnia.

Umiejętności przyrodnicze:

Wiadomości pozyskuje głównie z obrazów i zdjęć, ponieważ nie toleruje robali i innych żyjątek o wzroście poniżej 1 cm. Niestety, te wykluczone żyjątka uwielbiają ją, nie dając spokoju i ssąc.

Sprawność fizyczna:

Mniejsza niż oczekiwania jej samej. Otoczenie nie reaguje tak, jak by chciała – uważa ją za sprawną inaczej.

Szczególne osiągnięcia:

Szczególna, wyjątkowa wrażliwość na muzykę, którą to wrażliwość umiejętnie przekłada na poezję i na język angielski.

Wychowawczyni:

Joanna Groth

fyrta – część miasta, dzielnica, kwartał miejski, okolica (gwara poznańska).

MIEDZY POETĄ A TŁUMACZEM

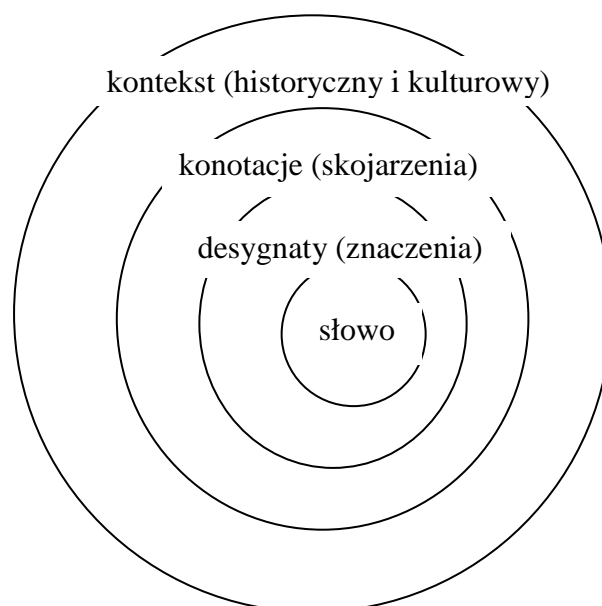
Tekst ten będzie dotyczył tłumaczenia z języka angielskiego, ale pewne kwestie mogą mieć charakter bardziej ogólny. Rozważania w głównej mierze będą skierowane na poezję klasyczną, w szczególności na wiersz sylabotoniczny.

Tłumaczenie obcojęzycznego tekstu jest zawsze zadaniem stawiającym przed tłumaczem szereg wyzwań. Tłumaczenie tekstu nieliterackiego jest łatwiejsze, choć i tu czasem mogą się kryć „pułapki”, pojawiające się w wyniku niezgodności słownictwa, odmiennej składni, odmiennej ekspresji i odmiennych znaczeń słów. Istnieje także obecna w każdym języku przestrzeń idiomów i związków frazeologicznych, z założenia nieprzetłumaczalnych.

Tłumaczenie dosłowne może dotyczyć pojedynczych słów, prostych fraz, ale już w przypadku pełnych struktur semantycznych praktycznie nie może mieć zastosowania. Nieznajomość specyfiki języka, wyrastającej z jego ducha, może być przyczyną błędnego tłumaczenia, prowadzącego do struktur w najlepszym wypadku wywołujących zdziwienie albo uśmiech. Wystarczy podać bardzo prosty przykład. Rozkład jazdy to po angielsku *time table*, czyli dosłownie „tablica czasu”. Gdybyśmy usiłowali oddać ten termin dosłownie, to pewnie szukalibyśmy takich struktur jak: *layout of driving* (rozkład jazdy), *layout of course* (rozkład kursów) itp. Brzmiałoby to trochę sztucznie i śmiesznie, a dla Anglika by nic nie oznaczało. Może najmniej trudności niesie tłumaczenie tekstu naukowego. Pod jednym warunkiem, że tłumacz swobodnie porusza się w danej dyscyplinie naukowej. Np. termin „sieć ciepła” prawidłowo tłumaczy się jako *district heating network*, ale osoba niezająca danej dyscypliny mogłaby to przecież przetłumaczyć jako: *thermal grid, grid of heat, grill of heat, thermal grill, heating web itp.*, narażając się co najmniej na niezrozumienie. Zarówno *grill, network, grid i web* oznaczają polskie słowo *siatka* lub *sieć*, ale jedynie *network* odnosi się do sieci cieplnej.

Dodatkowe trudności stwarza tłumaczenie tekstu literackiego, przy czym najwyższe spiętrzenie trudności występuje w poezji. Słowo, podstawowa struktura semantyczna, jest rozpatrywane jako znaczenie. Zbiór znaczeń to tak zwane desygnaty, czyli obiekty oznaczane przez dane słowo. Już w przestrzeni znaczeń pojawiają się trudne do przewyciężenia problemy, zwłaszcza w kategorii synonimów (wyrazów oznaczających to samo, ale inaczej brzmiących) i homonimów (jednakowo brzmiących wyrazów o różnym znaczeniu). Język angielski traktuje się zwykle jako uboższy niż język polski. Z tym bym się nie zgodził. Choć w pewnych dziedzinach angielski może rzeczywiście reprezentuje mniej obfite słownictwo, ale na przykład na określenie czasownika *mówić* (powiedzieć) mamy aż cztery odpowiedniki o nieco różnych znaczeniach: *to speak* (*I am speaking* – Mówię, np. w rozmowie telefonicznej), *to say* (*I have nothing to say* – Nie mam nic do powiedzenia), *to talk* (*What are you talking about?* – O czym ty mówisz?), *to tell* (*Tell me why I am not a cat* – Powiedz mi, dlaczego nie jestem kotem).

Obok znaczenia, zbioru desygnatów słowo jest otoczone aurą konotacji, czyli skojarzeń, mniej lub bardziej świadomych. I wreszcie, jeszcze szerszy krąg zakreśla obszar kontekstów, np. kulturowych i historycznych. Do tłumaczenia jest niezbędna znajomość wszystkich sfer otaczających słowo.



Tłumaczenie wiersza rzadko może być tłumaczeniem „słowo po słowie”. Specyficzna składnia każdego z języków może zakłócić ekspresję poetycką, która jest związana z kolejnością wyrazów we frazie. Nierzadko poezja sięga do takich środków jak szyk przestawny czy umyślne „złamanie” składni. Nieumiejętne przełożenie tych „zabiegów” na obcy język może zubożyć oryginał. W przypadku utworu poetyckiego mamy jeszcze do czynienia, oprócz warstwy znaczeniowej, z nieuchwytną warstwą niematerialną: metafizyczną aurą, duchem poezji, lotnością, dziwnością i wieloznacznością. Cechy te definiują poetę, określają jego odrębność i oryginalność. Nie jest przypadkiem, że właśnie te nieuchwytnie cechy utworu poetyckiego wyznaczają najwyższe trudności przy tłumaczeniu.

Na jednym biegunie mamy przekład filologiczny, oddający sens słów. Pozornie może się wydawać łatwy, ale różnice zakresów znaczeniowych (desygnatów) mogą doprowadzić do zatracenia sensu zamierzonego przez autora. Ten sens jest nieraz jasny, ale – zwłaszcza w przypadku poetów metafizycznych – nie jest oczywisty i może być mylnie odczytany przez tłumacza. Tu nie ma recepty, pozostaje tylko intuicja, wczucie się w rzeczywiste intencje autorskie. Pomocą, choć może niewystarczającą, może być znajomość życiorysu poety i jego „typu psychicznego”. Przeszkodą w odczytaniu właściwego przesłania wiersza może być, i zwykle jest, różnica osobowości twórczych autora i tłumacza, objawiająca się brakiem podobieństw w przestrzeni skojarzeń (konotacji). Przekład filologiczny ma znaczenie jedynie praktyczne, jako faza przejściowa w dalszej pracy tłumacza.

Na drugim biegunie mamy przekład poetycki, właściwy cel działania tłumacza poezji. Pomędzy tymi biegunami rozciąga się przestrzeń, nieraz nieokreślona, nieraz nie do przebycia. Od wieków w technice przekładu stawia się pytanie: czy przekład ma być wierny, czy piękny. Pojęcie wierności szerzej definiuję w p. 6. w dalszej części wykładu. Niektórzy mówią, że jest niemożliwe osiągnięcie obydwu ideałów. Można się z tym zgodzić. Wierność rzadko umożliwia pokazanie wszystkich walorów utworu poetyckiego. Nie ma odpowiedników niektórych związków frazeologicznych, np. w języku

polskim mówi się „słomiany wdowiec” z wyraźnym wskazaniem na mężczyznę, podczas gdy w języku angielskim odpowiednik brzmi *grass widow* (trawiasta wdowa), czyli z wyraźnym odniesieniem do kobiety.

Stanisław Barańczak (*Ocalone w tłumaczeniu*, 1992) ustanowił hierarchię wartości przekładu. Otóż, według Barańczaka, pierwszeństwo ma walor artystyczny, później dopiero można dyskutować o wierności przekładu. Tłumaczenie wiersza i oryginał muszą być tej samej klasy artystycznej – przekład wybitnego wiersza powinien być wysokiej klasy dziełem poetyckim. Takie podejście zawęża obszar tłumaczy poezji w zasadzie wyłącznie do poetów. Na pewno tłumaczenie nie może sprzeniewierzać oryginału, nie może go sprowadzać na niższy poziom artyzmu i profesjonalizmu. Taki powinien być cel, który wytycza sobie tłumacz.

Z tej ogólnej zasady można wyprowadzić zasadę „niezmienników”. W matematyce termin ten oznacza, że dany element nie zmienia się w czasie przekształcania wyrażenia algebraicznego lub struktury geometrycznej (np. kształt linii zakrzywionej nie zmienia się przy jej przesunięciu). Analogia do matematyki jest uprawniona, bo przecież alfabet jest zbiorem elementów matematycznych, a gramatyka zbiorem reguł do łączenia tych elementów (znaków) w proste i złożone struktury. Tłumaczenie wiersza jest jak przekształcenie matematyczne, przy czym jego naczelną cechą jest nieodwracalność (nie można przekształcać wyrażenia algebraicznego odwrotnie – od końcowej do początkowej postaci). Eksperyment polegający na przetłumaczeniu wiersza z języka angielskiego na polski i ponownie na angielski (np. przez innych tłumaczy – bez pamięci przekładu) spowoduje prawdopodobnie nieprzystawalność wersji pierwszej i ostatniej.

W pewnych utworach poetyckich występują tzw. „klucze”, struktury znaczeniowe lub nieznaczeniowe, wynikające ze specyficznego używania środków wyrazu poetyckiego, a czasem z układu przestrzennego, metrum i układu rytmicznego. „Klucze” te dobrze jest ocalić, choć nie zawsze jest to możliwe przy zachowaniu zasady wierności. Pisze szeroko o tym Barańczak. W wierszu

klasycznym, sylabotonicznym pewne „wskaźniki poetyckie” pozostawiają tłumaczowi dowolność, pewne – moim zdaniem – nie uprawniają do dowolności. Te „wskaźniki” to:

1. Piękno (walor artystyczny),
2. Warsztat poetycki,
3. Sens (przesłanie utworu poetyckiego),
4. Duch i aura wiersza,
5. Konteksty kulturowe,
6. Wierność,
7. Układ przestrzenny:
 - a. Liczba zwrotek,
 - b. Liczba wersów w zwrotce,
 - c. Liczba zgłosek w wierszu,
8. Metrum i rytm, akcentowanie, położenie średniówki,
9. Rym,
10. Brzmienie, płynność i miękkość frazy.

Ad 1.

Jeżeli zgodzimy się, że poezja jest sztuką piękną (należy do kanonu sztuk, podobnie jak malarstwo, rzeźba, muzyka), to piękno jest jej cechą immanentną (wewnętrzną). Jest absolutnie niedopuszczalne, aby w tłumaczeniu zatracić walor piękna. Walory estetyczne przekładu muszą być w pełni odpowiednie do wartości oryginału.

Ad 2.

Tłumacz powinien mieć wiedzę o literaturze kraju poety, powinien znać jego historię, a przynajmniej historię czasu, w którym żył poeta. Powinien – a jest to warunek pierwszej wagi – również posługiwać się swobodnie swoim językiem ojczystym i ojczystym językiem autora. Tłumacz powinien poruszać się na tym samym poziomie profesjonalizmu co tłumaczony poeta. Szczególnie powinien znać **środki wyrazu poetyckiego** i umieć je świadomie stosować, ze specyficznym ujęciem w języku przekładu. Podejście intuicyjne, naturalne może stanowić pułapkę nie do ominięcia. Nie zawsze uda się paralelizm (współbrzmienie) między środkami poetyckimi. Nośność metafory jest cechą związaną nierozdzielnie z językiem i z ogromnym obszarem konotacji i kontekstów. Może się zdarzyć, że w filologicznym tłumaczeniu metafora zatraci sens. Można ją zastąpić inną konstrukcją, np. hiperbolą, parabolą, elipsą, oksymoronem. Bez względu

nie należy zachować układy anafory i epifory. Należy pamiętać także o innym rodzaju (m. i ż.) niektórych wyrazów, co w tłumaczeniu może spowodować oddalenie albo utratę sensu słowa i frazy. Pewne nieporozumienie może budzić pisownia w języku angielskim. W wieku XIX. i nawet jeszcze w XX. wszystkie rzeczowniki pisane były z dużej litery, jak w języku niemieckim. W utworach naukowych ta zasada była przestrzegana do lat 80. XX. wieku, podobnie jak stosowanie anglosaskiego układu jednostek fizycznych. Dziś od tej zasady się odstępuje. Tłumacz może mylnie potraktować tę pisownię jako podkreślenie znaczenia, emfazę, wyróżnienie i indywidualizację obiektu. Prowadzi to do nieporozumień. Także w języku angielskim nie ma zwyczajowej formy pisowni zaimków z dużej litery, nawet w korespondencji (*I am writing letter to you* – piszę do **Ciebie** list).

Ad 3.

Zachowanie sensu (przesłania) wiersza jest absolutnie konieczne. Zbanalizowane pytanie: „Co poeta chciał przez to powiedzieć?”, niestety, z całą brutalnością odnosi się do przekładu obcej poezji. Zmiana sensu tworzy zupełnie inny wiersz. O ile żyjący artysta może dyskutować z tłumaczem, prostując przesłanie wiersza, o tyle w przypadku poetów minionych bronić ich mogą tylko krytycy. A tych kompetentnych i zainteresowanych starszą poezją jest coraz mniej. Zagadnienie sensu dotyczy dzieła jako całości, ale także poszczególnych fragmentów. Zaostrzenie problemu występuje przy puencie, która musi być wyrażona w sposób myślowo nie odbiegający od oryginału.

Ad 4.

Duch i aura wiersza są to elementy nieuchwytnie, niemierzalne, wymykające się wszelkim kryteriom i zasadom. Można ich zachowanie potraktować jako podstawowy cel przy tłumaczeniu. Cel bardzo trudno osiągalny, ale konieczny do osiągnięcia. Tego nie jest w stanie zapewnić żaden przekład zbliżający się do dosłowności. Osiągnięcie zgodności ducha i aury jest tylko dziełem intuicji, „wczucia się” w autora. Nie chodzi o wczucie emocjonalne, raczej intelektualne i psychologiczne.

Ad 5.

Znajomość kontekstów kulturowych i historycznych pomaga w tłumaczeniu. Nie zawsze wiedza tłumacza może być wystarczająca, zwłaszcza jeśli jest poetą, a nie historykiem lub historykiem kultury bądź sztuki. W przypadku wątpliwości w rozumieniu pewnych fraz odwołujących się do kontekstów tłumacz powinien poradzić się specjalisty z danej dziedziny. Popętnienie błędu może wypaczyć sens pojedynczej frazy lub całego wiersza (patrz. p. 4.).

Ad 6.

Walor wierności nie powinien być rozumiany jako walor dosłowności. Wierność dotyczy sfery przekazu poetyckiego, intencji autora, możliwej do uzyskania zgodności w kategorii znaczeń, skojarzeń i kontekstów. Wreszcie, dotyczy całości wiersza, jego przesłania. Oczywiście, w przypadku poezji intuicyjnej, „otwartej”, w której odbiorca wybiera sobie odpowiadającą mu interpretację, rozważania o wierności nie mają sensu, ponieważ autor pozostawia nam dowolność w interpretacji wiersza.

Ad 7a.

Liczbę **zwrotek** w wierszu należy traktować jako niezmiennik.

Ad 7b.

Liczba **wersów** – ten warunek też powinien być, moim zdaniem, spełniony bezwarunkowo. Zmiana liczby wersów w tłumaczeniu może czasem wynikać z niemożliwości zmieszczenia się z frazą przełożoną na język o mniejszej kondensacji znaków. Uważam, że zmiana liczby wersów w przypadku wiersza klasycznego jest niedopuszczalna. Warunki a. i b. dotyczą w szczególności sonetu (w różnych odmianach), przy którym tłumaczenia z dopisywanymi wersami burzą architekturę wiersza i świadczą wyłącznie o braku umiejętności translatorskich.

Ad 7c.

Liczba **sylab** (zgłosek) – ten warunek jest rzadko możliwy do spełnienia. Język angielski jest najbardziej skondensowanym językiem europejskim zarówno pod względem długości wyrazów, jak i liczby słów w zdaniu. Fraza o długości 6 zgłosek jest w języku angielskim zupełnie możliwa,

podczas gdy wyrażenie myśli w jednej frazie w języku polskim będzie wymagało co najmniej 9 lub 10 sylab. Nie należy zakładać równości liczby zgłosek, ale jest konieczne utrzymanie pewnej zasady, np. jeżeli w oryginale mamy siedmiozgłoskowiec, to w przekładzie możemy zastosować dziewięciozgłoskowiec, ale konsekwentnie. Podobnie, gdy występuje regularna zmiana liczby zgłosek w wersach parzystych i nieparzystych, np. 6/8 lub 6/9, powinniśmy przyjąć podobną zasadę, np. 8/10, 8/11, 9/11 itp., ale także z zachowaniem zasady w całym utworze lub jego fragmencie, jeśli zasada się zmienia. Przy tłumaczeniu musimy mieć świadomość, że niektóre konstrukcje mogą nie odpowiadać charakterowi oryginalnego utworu. Siedmiozgłoskowca w liryce nie możemy zastąpić ośmiozgłoskowcem, bo to rytm prostej piosenki lub ballady. Zgodność liczby sylab powinna być **bezwzględnie** przestrzegana w piosence, także poetyckiej balladzie (nawet bez muzyki). W takim przypadku w tłumaczeniu należy się wystrzeżać „wypełniaczy” (tu, już, och, aż), rozciągania zgłoski na kilka jednostek rytmicznych (e-e-e-ła) i powtórzeń (Jolka, Jolka). Ten punkt zazębia się z następnym.

Ad 8.

Ramy rytmiczne wiersza jako utworu muzycznego (melika i liryka to wiersze pisane do recytacji z akompaniamentem instrumentów muzycznych) muszą zachowywać w tłumaczeniu odpowiednie do rodzaju wiersza metrum (stopy, zestroje akcentowe). W przekładzie nie jest konieczne zachowanie oryginalnego układu rytmicznego, lecz jego dostosowanie do specyfiki języka przekładu, przy przyjęciu jednakowej zasady rytmicznej w całym utworze lub we fragmencie, z zachowaniem zmian zachodzących w oryginale. Np. ośmiozgłoskowiec w liryce angielskiej ze średniówką (rozdziela wers na dwa układy rytmiczne) po 4. sylabie nie może być zastąpiony w przekładzie bliźniaczą strukturą rytmiczną, bo rytm ten zupełnie zatraci pierwiastek liryczny. Powinniśmy jednak starannie zachować zasadę, na której oparty jest rytm wiersza w relacji do oryginału. Akcentowanie jest specyficzną cechą języka. Rzadko sposób akcentowania może być zbliżony w oryginale i przekładzie. Pozornie łatwy język rosyjski stawia czasem

trudne do pokonania przeszkody. Podobnie jest w języku angielskim – z próby zachowania oryginalnego rozkładu akcentów dobrze jest zrezygnować na początku tłumaczenia. W przekładach piosenek należy dążyć do zachowania układu rytmicznego oryginału.

Ad 9.

Możliwość zachowania rymu powinna być traktowana ogólnie – tam, gdzie był w oryginale, powinien być w tłumaczeniu w tym samym układzie. Jeśli oryginał ma układ rymu *abba*, to w tłumaczeniu nie możemy zastosować zasady *abab*. Szczególnie dotyczy to sonetu, gdzie w ostatnich sześciu wersach bezwzględnie powinniśmy zachować oryginalny układ (np. *abcabc* lub *abacab*...). Rym męski w języku angielskim jest naturalny, zważywszy na obecność wielu wyrazów jednozgłoskowych. Także przy większej liczbie sylab brzmi w tym języku naturalnie. W języku polskim rym męski jest ubogi, często zbyt prosty, a nawet banalny. Wyjątkiem jest piosenka poetycka, gdzie akcentowanie może wymagać rymu męskiego. Do Kochanowskiego w poezji polskiej nie uznawano rymu męskiego. W języku angielskim spółgłoski na końcu wyrazu wybrzmiewają otwartą samogłoską, jakby ją sugerując, dlatego nie ma kolizji w zastąpieniu rymu męskiego żeńskim. W wymowie wielosylabowych wyrazów z rymem żeńskim w języku angielskim często występuje wchłonięcie ostatniej sylaby i sprowadzenie rymu do męskiego (np. *periphrasis* – wym. *perifreis's*). Język polski wymaga ściślejszego rymu niż język angielski. W angielskim niemal każde zestawienie spółgłosek lub samogłosek na końcu wyrazu jest asonansem (asonans – zbliżone brzmienie, konsonans – pełne współbrzmienie, dysonans – brak współbrzmienia), zdefiniowanym w „Stowarzyszeniu umarłych poetów” jako „kiepski rym”.

Ad 10.

Walent brzmieniowy wiersza nie jest najważniejszy w hierarchii walorów poetyckich, ale bardzo istotny. Odsyłam do tłumaczenia „There's something quieter than sleep” Emily Dickinson w przykładzie, gdzie ostatni wers, abstrahując od zatracenia sensu (spokój śmierci a tu „ptaki pierzchły”) brzmi

zbyt kanciasto. Niektórych współbrzmień w języku polskim należy unikać, zwłaszcza nasycenia spółgłoskami. Tu przydaje się słuch muzyczny. Wiersz nie może „zgrzytać”. Zatrącenie płynności frazy jest jednym z większych „wykroczeń” translatorskich. Dlatego po przetłumaczeniu wiersza zawsze należy poprosić inną osobę o jego odczytanie. Czytając samemu nie zauważymy zgrzytów, chyba że z zastosowaniem „odsluchu”, jak przy nagrywaniu i odtwarzaniu muzyki. Miękość frazy jest czymś nieokreślonym, choć wyczuwalnym. Nie może być zniszczona przez nieumiejętne tłumaczenie. W wierszu wolnym wystarczy zachować pierwsze sześć zasad. Zachowanie ich jest jednak koniecznością. W tym miejscu należy przypomnieć, że *wiersz wolny* to *free verse*, co oznacza *wolny wers*, a nie wiersz jako utwór poetycki. To nie jest wiersz, w którym możemy pisać, co chcemy – ta definicja określa strukturę wersu. Podobnie *biały wiersz*, często mylony z wierszem wolnym, to nie *white poem* a *blank verse*, dosłownie *niewypełniony (pusty) wers*, niewypełniony w stosunku do zasad rymu, ale spełniający wymagania podziału rytmicznego.

Zespół dziesięciu powyższych zasad stanowi listę utrudnień przy tłumaczeniu. Tłumacz musi się z nimi uporać. Oczywiście, w pewnych sytuacjach, można mówić o kompromisie czy hierarchii ważności tych elementów, ale „idealny” przekład powinien sprostać wszystkim omawianym zasadom.

Na koniec wykładu kilka zasad „BHP” w tłumaczeniu poezji:

1. Nie porywajmy się na tłumaczenia wierszy, których ducha nie czujemy („nie leżą nam”).

2. Bezwzględnie korzystajmy z konsultacji „starszych” poetycko konsultantów, znających dobrze język polski i język oryginalny wiersza i – dodatkowo – będących poetami.

3. Przy tłumaczeniu wiersza bądźmy odpowiedzialni przede wszystkim przed autorami, nawet jeśli nie żyją!

4. Bądźmy odpowiedzialni przed Czytelnikiem.

5. Bądźmy odpowiedzialni przed innymi tłumaczami, także w sferze prawa autorskiego – trudno jest czasem nie przetłumaczyć prostej frazy identycznie jak

inny tłumacz – stwierdzenie, czy to jest plagiat, jest trudne.

Na zakończenie przykład tłumaczenia. Pierwsze z nich można uznać za zbliżone do filologicznego. Nie jest zachowany w całości rytm wiersza, rym, akcentowanie, położenie średniówki. Nie jest – jak wspomniałem – także zachowane przesłanie wiersza – patrz wers ostatni i uwagi w p. 10. Drugie tłumaczenie to tłumaczenie poetyckie, z próbą zachowania wszystkich walorów wiersza. Autorem pierwszego tłumaczenia jest Ludmiła Marjańska, uznana poetka i tłumacz. Proszę mojej propozycji tłumaczenia nie traktować jako próbę postawienia się wyżej w sztuce translacji od Autorki przekładu. To moja prywatna wizja tłumaczenia. Tak ten wiersz czuję, z całym szacunkiem do poprzednich przekładów Emily Dickinson (Hłakowiczówna, Barańczak).

ORYGINAŁ

There's something quieter than sleep

There's something quieter than sleep
Within this inner room!
It wears a sprig upon its breast --
And will not tell its name.

Some touch it, and some kiss it --
Some chafe its idle hand --
It has a simple gravity
I do not understand!

I would not weep if I were they --
How rude in one to sob!
Might scare the quiet fairy
Back to her native wood!

While simple-hearted neighbors
Chat of the "Early dead" --
We—prone to periphrasis
Remark that Birds have fled!

TŁUMACZENIE L. MARJAŃSKIEJ

(Jest coś cichszego niżli sen - śmierć)

Jest coś cichszego niżli sen
W tym środkowym pokoju.
Na piersi ma gałązkę –
Przemilcza imię swoje.

Niektórzy dotkną, ucałują,
Rozetrą bezwładne dłonie
Tej siły przyciągania
Nie rozumiem, nie pojmem!

Nie mogłabym płakać jak oni –
Szloch może być obrazą!
Spłoszą cichą wróżkę i umknie
Do swych rodzinnych lasów.

Gdy prostoduszni sąsiedzi
Gawędzą o "zmarłej przedwcześnie",
My – skorzy do peryfrazy –
Mówimy, że ptaki pierzchły.

MOJE TŁUMACZENIE

Jest coś nad sen spokojniejszego

Jest coś nad sen spokojniejszego
W tamtym pokoju w środku domu,
Z gałązką w dłoni bzu wiotkiego
Nie zdradzi twarzy swej nikomu

Ktoś pocałuje, ktoś dotknięciem
Rozgrzeje nieruchome dłonie,
Niezrozumiałe, jak zakłęcie,
Przyciąga mnie w ogniska płomień

I nie płakałabym zapewne,
Płacz byłby pustą stratą czasu,
Mógłby wypłoszyć wróżki zwiewne
Do ich rodzinnych, dziwnych lasów

Sąsiedzi, ludzie sercem prości
Mówią o śmierci, wczesnej takiej,
My, unikając dosłowności,
Powiemy – odleciały Ptaki

Ostrzyce – plener – lipiec 2012

Kazimierz Żarski

POLSKI WIEK XX

I

Tak mówi najgorsze
z chińskich strasznych przekleństw:
Żyj w ciekawych czasach!
A nasz wiek XX
był s t r a s z n i e ciekawy,
co warto przypomnieć.

II

Wciąż gnębią nas wojny:
wojenki domowe,
z sąsiadami wokół,
nawet dwie światowe
(u nas, dla fantazji,
dłuższe po lat kilka),
wojenki na górze,
na dole, pośrodku,
to rządu z narodem,
to narodu z rządem...

III

Ciągłe rewolucje
(nie wszystkie – społeczne):
bunty zrozpaczonych,
niezadowolonych,
nawet podpuszczonych;
strajki i zamieszki,
demonstracje siły
i wściekłe przebiegi
z ulewy pod rynną,
spod rynny – pod rzygacz,
stamtąd do kanału.

IV

Wciąż jakieś powstania
(nie zawsze konieczne),
w których zwyciężamy
bardzo rzadko zbrojnie,
lecz zawsze – moralnie;
rzadziej plebiscyty –
także niezwykłe;
stany półwojenne,
szczucia i pogromy.

V

Wciąż zmiany na lepsze
(przynajmniej w programach)
i ostre wirażę,
z których wciąż wpadamy
do lewego rowu,
to znów do prawego
(część się tam ubłoci,
a nawet zabije),
z marzeniem o jasnej,
prostej drodze w przyszłość.

VI

Ciągle chcą nas zbawiać
totalitaryzmy,
z których już, na szczęście,
dwa prawdopodobnie
szlag trafił na wieki;
niestety, pozostał
na pociechę trzeci,
ten najbardziej zmyślny,
i ma się wspaniale,
nie tracąc nadziei,
że zawładnie światem.

VII

Wciąż musimy cierpieć
rządy w imię partii
(broń, Boże, narodu!)
jedynej, najlepszej,
choć jest ich już w państwie
pewnie ponad setka
i wszystkie skłócone
o dostęp do koryt.

VIII

Mamy naszych grzechów
starych, lecz żywotnych
i wręcz ukochanych
niemałą litanie
(my, naród pobożny,
litanie lubimy!):
więc polonocentryzm
i megalomanię;
pogardę dla Wschodu
(przeważnie ruskiego),
podziw dla Zachodu,
który ma nas w d...
i cielecy zachwyty
dla nieba Południa.

Północ nas nie wzrusza,
bo tam niby wszystko
w najlepszym porządku,
ale nie ma wiary;
służbę obcym sprawom
ze szkodą dla własnych;
szukanie win swoich
tylko pośród obcych;
niechęć do myślenia;
słów nadużywanie
wzniosłych, pięknych,
świętych
i postępowanie,
które wstyd przynosi;
pogardę dla ludu
a miłość dla możnych
(bo to, jak wiadomo,
najwięksi patrioci);
patriotyzm na pokaz,
traktowanie Polski
jak postawu sukna;
wiarę, że kołacze
mogą być bez pracy;
chętną wiarę w cuda
(byle bez wysiłku!),
wiarę, że medale
mają jedną stronę
i są dwa kolory:
biały oraz czarny;
że krew jest błękitna,
a serce po prawej;
wieczne biadolenie;
bezinteresowną
wszechobecną zawiść
i brak tolerancji;
kult niby-równości
(wszyscy są jednacy,
ale każdy – lepszy);
wreszcie to najgorsze:
kosmiczną głupotę.

IX

Są więc i efekty.
Oto najważniejsze:
morze krwi i zniszczeń,
ocean cierpienia,
najczarniejsza z ciemnot,
którą pracowicie
ktoś w narodzie szczepi.

X

Jesteśmy dziwnawi:
ciężko harujemy,
by potwierdzić słowa
Dziadka, który w Maju
powiedział, że Polska –
to naród idiotów,
ale on jest Litwin...
Stajemy na głowie,
by ziścić opinię
Ottona Bismarcka
(cóż, że wroga Polski!):
Daj Polakom wolność,
a sami ją zniszczą.

XI

Obudźmy się wreszcie
choć na koniec wieku!
Pomnijmy, że naród
mądry nie śmie zginąć,
ale głupi – musi!
I wspomnijmy słowa
Jana z Czarnolasu:
*A jeśli komu droga
otwarta do nieba –
tym, co służą ojczyźnie.*
Oby tak mówiono
o nas i współczesnych!

5.08 – 10.09.2000 r.

Wiesław Sienkiewicz

Według publikacji w: *Poetyckie odwiedziny. Śląskie Zeszyty Nauczycielskie. Wydanie specjalne*. Katowice 2012, str. 124-126.

GORZKIE REMINISCENCJE

Znany bardziej jako satyryk, aforysta i tłumacz, Wiesław Sienkiewicz napisał moralitetowy poemat o polskim wieku XX. Sprawnie w nim zastosował biały sześćozgłoskowiec i podzielił utwór na jedenaście części. Kunszt poematu, czyli jego wartości artystyczne polegają tu nie na odkrywczej metaforyce – poetyckich dekoracjach, choć są i takie, nieraz już wykorzystywane, na przykład *morze krwi i zniszczeń; ocean cierpienia*. Więcej alegorycznej metaforyki można znaleźć w podtekście – w tym, co nienazwane wprost, lecz scedowane na wiedzę, wyobraźnię i interpretację czytelnika. Sztuka poetycka nie opisuje przecież świata dosłownie, operuje skrótem myślowym.

Ale zgrabna strona formalna to tylko zewnętrzny walor tego utworu – należącego do gatunku poezji epickiej. Ciekawsza i ważniejsza jest jego wymowa. To są gorzkie reminiscencje dotyczące Polski i Polaków XX stulecia, ale też wcześniejszej przeszłości i nawet teraźniejszości. Pewne zjawiska (polityczne, społeczne, etyczne, mentalnościowe) wloką się przez nas i z nami przez całe dzieje ojczyste. Przybierają jedynie nowe formy, inne „opakowanie”.

Negatywne zjawiska pokutujące odwiecznie i nowo się rodzące w naszym narodzie zawsze bolały i napawały troską tych Polaków, ściślej: obywateli polskich, którzy mieli szersze niż własny, prywatny interes poczucie utożsamiania się z ojczyzną, w tym także wielkich twórców literatury, malarstwa, muzyki, filmu... Lista takich rodaków jest długa, w literaturze poczynając choćby od Mikołaja Reja. Ten społeczno-patriotyczny ból się nie kończy, bo nie kończą się owe negatywy. I chyba w każdym pokoleniu byli i są tacy, którym te przywary doskwierają, toteż wyrażają swe odczucia najmocniej w twórczości.

Do tych zatroskanych o skutki polskich ułomności i barier dołączył i należy nie od dziś, m.in. przez rozważany tu poemat, Wiesław Sienkiewicz. Rybnicki pisarz pokusił się o zebranie w niedługim, liczącym łącznie około 150 wersów poemacie, podstawowych, raczej niechlubnych cech i zdarzeń, a nawet szkodliwych dziwactw kornikujących nasze życie narodowe i społeczne. Dało to efekt ich zgęszczenia, a przez to – ostrzejszej ekspresji.

Wychodzi autor od zacytowania najgorszego z chińskich przekleństw: *Żyj w ciekawych czasach!* I nawiązując do niego stwierdza, iż właśnie nasz, czyli polski wiek XX był *s t r a s z n i e c i e k a w y*. Jak wyżej się rzekło, straszdyła polskiego XX stulecia nie wtedy, a przynajmniej nie tylko wtedy się narodziły, zaś owa straszność ma tu znaczenie pierwotne, a nie dziś odwracane („straszenie się cieszyć”). Straszny to straszny – znaczy grozę, zło. Cieszyć się oznacza radość, a nie strach. Tyle o swoistej inwokacji poematu, bo dalej jest bolesne przypomnienie. Czego?

Najpierw grozy wojen, od wojenek domowych i sąsiedzkich (w małym, dosłownym ich rozumieniu, jak też z sąsiadującymi krajami), aż po dwie wojny światowe – *u nas, dla fantazji* [!] *dłuższe po lat kilka*. Ach, ta polska fantazja ułańska!... No i te niedawne oraz dzisiejsze wojenki *na górze / na dole, pośrodku*, wojenki władzy z narodem i vice versa. I rewolucje, *nie wszystkie – społeczne* (co rozumiem jako nie służące społeczeństwu, lecz przeciwnie – mu szkodzące). Całą ich plejadę wywołują nie tylko krzywdzeni, ale i *podpuszczani*, czyli oglupieni szczytnymi hasłami i własną naiwnością, nierealną wiarą, że będzie lepiej, często durną mrzonką, że tu nastanie raj... Po czym musi nastąpić to, co się nazywa obudzeniem z ręką w nocniku – rzeczywistość jest brutalna. Autor nazywa te chciejstwa bezpardonowo: *z ulewy pod rynnę, / spod rynnę – pod rzygacz*, skąd dalsza droga prowadzić musi *do kanału*. Metafora niewymyślna, lecz jakże wymowna!

Nie tylko wiek XX... Kolejna introspekcja – powstania, nie tylko warszawskie, a prawie wszystkie zakończone polską klęską. Nota bene nieliczne zwycięskie, na przykład wielkopolskie jest dziś przemilczane, odsuwane w narodową niepamięć. Pisarz gorzko kpi z rodzimych „skoków” to na lewo, to na prawo, których źródłem jest wciąż niepoprawna naiwność marzeń, że jakoś to będzie. Wyrażając nadzieję, że dwa dwudziestowieczne totalitaryzmy *szlag trafił na wieki*, autor ironizuje, iż *na pocięgę* pozostał trzeci. Lecz ironia zamienia się w kasandryczną wizję: ten trzeci

jest groźniejszy, bo nie tylko z przyzwoleniem się rozwija, ale też jest przebiegły i przekonany, że *zawładnie światem*. Autor go nie nazywa, pozostawiając z nim czytelnika zmrożonego nieznaną, wręcz katastroficzną przyszłością.

Jakby dla oddechu po tym wraca do aktualnych problemów: dźwigania ciężarów przez rządzące partyniactwo, kłójące się o *dostęp do koryt*. Lecz to jest niejako preludium do części VIII, najdłuższej, zawierającej katalog polskich wad i przywar, które przez to wyliczenie i dyskretny, choć dobitny komentarz pozwala na ich wiwisekcję i osąd. Czego tu nie ma – zwróćmy uwagę na najcelniejsze: polonocentryzm, megalomania, pogarda dla Wschodu, zachwyt cudzym niebem – południowym, bo północ jest uporządkowana, zatem nieciekawa, gadulstwo, bezmyślność. I pogarda dla zwykłego człowieka, ale miłość do bogaczy, bo oni to *najwięksi patrioci*, więc to uczucie trzeba reglamentować i wypaczać, zaś własny kraj traktować *jak postaw sukna* – rwać go, chapać dla siebie. I mocna ocena, że *kołacze / mogą być bez pracy*. Kto teraz chce pamiętać o wykorzystanym tu przysłowiu: „Bez pracy nie ma kołaczy”? Przekonaną o tym mniejszość nazywa się frajerami!

I jeszcze: pseudorówność, bo niby to *wszyscy są jednacy, / ale każdy – lepszy* (no, ma się za lepszego!). Autor kończy tę część stwierdzeniem, że wśród tego bagna najgorsza jest „kosmiczna głupota”. Przymiotnik to jednoznaczny: kosmiczna, czyli niezmierna, bezdena i niemożliwa do ogarnięcia. Skutki są oczywiste (część IX): cierpienie, zniszczenie i pracowicie zaszczipiana narodowi ciemnota.

W części XI autor powraca do wspomnianych na początku wielkich – bo mądrych! – Polaków, tu do Piłsudskiego, który sarkastycznie określił Polaków jako idiotów. Tak, ale on Litwin... Obraził Polaków? Takich było więcej niby nie-Polaków: Mickiewicz, Tuwim, Miłosz, ha, dla niektórych dzisiejszych celebrytów i pismaków także Szymborska, a wcześniej choćby królowie Jagiełło czy Batory, by wspomnieć kilkoro ad hoc. Wszyscy oni, jako „obcy” etnicznie, obrazili Polskę, szkodzili jej? Tylko ilu z tłumu „rdzennych” tyle dokonało dla tego kraju? A ilu w tym rzucało im kłody pod nogi? Komu na przykład i dlaczego przeszkadzał król Batory, że mu się „pomogło” skrócić żywot? Tak, Bismarck był polakożercą, ale jak się czujemy wobec jego słów: „Daj Polakom wolność, a sami ją zniszczą”? W ustach wrogiego władcy brzmi to jak obelga, ale czy kłamliwa? Gęsto u nas od słów o wolności w gębach krzykaczy, ale – bez wręcz truizmu, że wolność jest nierozzerwalną jednią z odpowiedzialnością.

Wiesław Sienkiewicz kończy poemat (część XI) moralnym upomnieniem, aby ten zwichrzony i ogłupiały naród wreszcie się obudził – w imię mądrości, iż mądry nie ginie, *ale głupi – musi*. I w imię myśli pierwszego mistrza poezji polskiej, Jana Kochanowskiego: *A jeśli komu droga / otwarta do nieba – / tym, co służą Ojczyźnie*. I pragnie, by tak mówiono o nas współczesnych. Dodajmy: by tak nas oceniano, ale na mocnej podstawie zmiany polskiej mentalności i postępowania. Z taką obywatelską troską, z takim celem i wiarą w jego spełnienie Autor przywołał te kłujące reminiscencje.

Czerwiec 2012

Rafał Orlewski

JEST TAK BLISKO

*Pochwalony bądź, Panie, przez siostrę naszą, wodę,
Co pożyteczna jest wielce i pokorna, i cenna, i czysta.
Św. Franciszek z Asyżu „Pieśń słoneczna”*

Błękit nieba o poranku, na jego tle gałązki z młodymi pąkami wiśni. Trzymam w ręku pierwszy samodzielny tomik Joanny Dawidziuk, szczuplutki, wiotki i wydłużony jak ona sama, i mam ochotę śpiewać za świętym Franciszkiem: Pochwalony bądź, Panie, przez siostrę naszą, Asię, tak bliską nam, co, jak ta woda z „Pieśni słonecznej”, swoją pogodną uczynnością wielce jest pożyteczna, słodkim uśmiechem pokorna, dobrym słowem cenna, czarownym spojrzeniem czysta! I bądź pochwalony przez jej wiersze, pożyteczne, pokorne, cenne i czyste, przybywające do nas z kartek tomiku.

Mam nadzieję, że autorka zgodzi się na to porównanie. Wprawdzie napisała w jednym z wierszy: *Jeśli zechcesz / stanę się półdzika* i określenie to zafunkcjonowało w gronie przyjaciół literatów od momentu zetknięcia się przez nich z rękopisem utworu jako niemal odpowiednik artystycznego pseudonimu. Ta półdzikość jednak chwilę później precyzuje się już zgodnie z franciszkańskim umiłowaniem przyrody i delikatnością: *płynąca z falą rzeki / i szumiąca jak trzciny // ze świtem / złagodnieje wiatr / światło da kształty drzewom / oczom nieskończoność*. W tym miejscu dochodzi do wyznania: *a ja będę / pamięcią dotyku...* I wraz z tym werselem wkraczamy w świat wewnętrzny poetki, do którego piękno natury staje się w wierszach bramą, dla niewtajemniczonych zamkniętą, otwierającą się jednak dla każdej bratniej duszy.

Brama otwiera się już o świcie: *moje krajobrazy / wędrują brzegiem / filizanki / porannej kawy* – razem z autorką przeżywamy chwile, kiedy włosy niesforne jeszcze *o tej porze*, krople rosy na *pajęczynie / zapomnianej na ganku / tamtego spotkania* i kiedy człowiek *taki tęskny wtulenia / w dotyk aksamitu*. Ostrożnie, z *grudką myśli / w dłoni*, przekraczamy próg. Nie można oglądać się, nie można zabierać *marzenia / z wczoraj*. Słowa „wierszy z westchnieniem piaszczystych dróg” prowadzą w pejzaż „jagodowych pól i wrzosów”, w głąbię *lasu zapomnianego / zbyt wcześnie*. Spotykamy młodzieńki, białe jeszcze języki i *motyle / jak akcenty / postawione / nad kwiatami*.

Wzbierają wspomnienia – te z dzieciństwa, z „dziadkowym spojrzeniem” znad posadzonej wspólnie z wnuczką brzozy, z kolonii Caritasu z „całym światem małego człowieka”, wspomnienia młodości dojrzewającej jabłkami, kiedy *właśnie kończy się lato*. Ślady każdego szarego dnia codzienności – „kory istnienia”. I miłości, która *niezrozumiała / za trudna / może niepotrzebna*, ale bez której *rozsypują się kwiaty* i całe istnienie. Która przyszła, *gdy na wystrzępionej kartce przysiadły dwa anioły i zaczęły razem / pisać wiersz*, która *chciała podawać dwie herbaty*, wabić *słodyczą / dotyku słowa / obietnicą zielonego / pocałunku*. Chciała stanąć blisko, choć na chwilę przytulić *zmęczoną duszę do nadziei*.

Wzbierają uczucia, szukają „strof natchnionych głębią życia”. Płyną szumem lasu, który *uczy, jak rozmawia się / z ziemią*. Kołyszą się falą „mazurskiej nocy, czarnej do cna”, z kamieniami na dnie jeziora. Pozwalają *istnieć marzeniom / rosnąć dzieciom*. Słowa odnajdują się – w „okruszku chwili każdej”, w dłoni rozdającej *chleb / z pamięcią żniwiarza*, w uśmiechu, „otwartym oknie istnienia”. Porządkują *czas i przestrzeń / ludzi i sprawy*. Prowadzą pielgrzymim szlakiem tam, skąd *serce wołanie słyszy*, zostawiając za sobą księgi i *spory na godzin wiele* – ku Bogu, który jest *światłem i cieniem*, który *mówi oczami dzieci i starców* i który będzie nas sądził z miłości.

Kończy się dzień, zamyka brama. Wędrownica pozostaje. Wędrownica nasza, wędrownica Asi. Nie wiadomo, jak długa jeszcze. Stopy „czasem poranione” wciąż przesypują *piasek polnej drogi*, wciąż *tak daleko i blisko*.

Joanna Pisarska

Joanna Dawidziuk. *Tak daleko i blisko*. Związek Literatów Polskich Oddział w Białymstoku, Białystok 2011.

O WIERSZACH Z ULICY TARTACZNEJ

Sympatyczny ludzik-kot na wydzierance z gazet obok tablicy z napisem „Wierszyki” zaprasza z okładki, by zagłębić się w treść oglądanej książeczki. A w niej trochę żartu, trochę spostrzeżeń z dookólnego świata, w którym przyszło żyć młodym autorom, trochę marzeń i przemyśleń filozoficznych na miarę młodego człowieka. Wiersze pisane przez dzieci ze Szkoły Podstawowej nr 6 im. Armii Krajowej w Augustowie to prawdziwe perełki. *Zamknij oczy, cofnę czas, by nie było nas* – pisze Kinga Nejfeld. Tak powiedzieć może tylko poeta i dziecko obdarowane szczerością i magicznym widzeniem świata. Diana Piekarska pisze w wierszu zatytułowanym „Zamyślona, zapatrzona, zachwycona”: *Nawet nie wiem, czym. (...) Może tym, że niepojęty Bóg tyle mi dał*. Można pisać wiersze intuicją, nawet nie wiedząc, o czym w końcu mają one być. Bo kto tak naprawdę wie, dlaczego się pisze wiersze i o czym one są? Natalia Malinowska w utworze „Piszę ten wiersz” notuje: *Nawet nie wiem o czym / Tak... / Miał być kruk / I ten wysoki dąb / I ten piękny zielony las*. Martyna Giero zaś, zdziwiona, mówi o natchnieniu: *Przyszło i usiadło obok. / Kazą ubrać myśli w słowa*. Nic ująć i nic dodać. Anna Bielińska wyznaje: *Samotność wciąż męczy mnie / A każdy samotny o tym wie / że trudne uczucie kimś takim być / po prostu trudniej jest żyć*. Poeta zawsze jest samotny, a przekonuje się już o tym będąc jeszcze dzieckiem. Prawdą jest też to, że samotność czasem nie wystarcza młodemu artyście i trzeba wtedy szukać przyjaciela. Może być nim chociaż kotek z okładki. *Mój kot dziwne ma zwyczaje, / Coś innego wciąż udaje. (...)/ Ale przyjdzie mu ochota, / By znów zamienić się w kota* – pisze Emilia Dawidejt. Można od niego uczyć się przyjaźni, ale też i udawania, zamieniania się rolami, widzenia świata od strony piątej, którą tylko znają poeci i zwierzęta. Tomik dwudziestu siedmiu młodziutkich poetów z ulicy Tartacznej (ich szkoła znajduje się w dzielnicy Lipowiec przy ulicy Tartacznej, stąd ten tytuł), gdzie mają możliwość tak pięknie wzrastać w swoich zdolnościach, przyozdobiły rysunki młodych plastyków: Aleksandry Drozdowskiej, Marcina Pomalejko, Zuzanny Skoczko i Jakuba Tomkiewicza, również uczących się tej szkole. Wszystkie zachwycają. Mnie najbardziej zauroczył właśnie „Liść” Jakuba. Co przedstawia? Zobaczcie sami. Autorami wierszy są: Izabela Bielenica, Anna Bielińska, Magdalena Bołbot, Ewelina Borkowska, Emilia Dawidejt, Aleksandra Drozdowska, Martyna Giero, Mateusz Grzymkowski, Joanna Klimkowska, Karolina Kondracka, Paulina Kosobudzka, Natalia Malinowska, Magdalena Młotek, Michał Molawko, Olga Mołodziejko, Kinga Nejfeld, Adam Niedźwiecki, Diana Piekarska, Patrycja Popławska, Paulina Poważa, Ruben Rećko, Zuzanna Skoczko, Aleksandra Stefanowska, Aleksandra Szostak, Bartosz Turowski, Justyna Witkowska i Robert Woroniecki. Niektóre z dzieci wykazały się zarówno talentem literackim jak i plastycznym. Publikowane w książce wiersze wcześniej były nagradzane i wyróżniane w konkursach, a wiele z nich ujrzało światło dzienne na łamach „Płomyczka”. Warto jest poczytać i pooglądać tę książkę, skomponowaną według koncepcji Janiny Osewskiej, poetki i dyrektora szkoły, przy współpracy Małgorzaty Kleczkowskiej, nauczyciela bibliotekarza. Zostało mi tylko pochwalić tę szkołę, w której zrodziły się prezentowane w tomiku wiersze i rysunki. Także wydawnictwo, w którym powstają tak starannie wypielegnowane książki. Gratuluję wszystkim „Wierszy z Tartacznej”!

Józefa Drozdowska

Wiersze z Tartacznej. Koncepcja wydawnicza, układ i redakcja Janina Osewska. Wydawnictwo Dom pod Brzozą, Augustów 2011.

NOTKI

„Wiadomości Brzozowskie”. [Brzozów, woj. podkarpackie]. Listopad 2011. # Władysław Pytlak. *Pożegnalne słowo*. [Wiersz z dedykacją: *Pamięci poety Eugeniusza Szulborskiego*]. Czytamy: (...) *Poeto pól, łąk i lasów, / drogi nasze nigdy się nie spotkały. / Ty wędrowałeś pośród białostockich równin, / ja ścieżkami podkarpackich wzgórz. // Dziś i ja na twą mogiłę chcę rzucić / pożegnalną grudkę ziemi, / tej ziemi – twej wielkiej, największej miłości. / Spoczywaj w pokoju, / poeto białostockiej krainy*. [Wiersz datowany: *Wesoła, wrzesień 2011 r.*].

Halina Alfresa Auron. *Bywa taki dzień*. Wydawnictwo PRYMAT Mariusz Śliwowski, Białystok 2011. Stron 76; 20,4 x 14,3 cm; ISBN 978-83-60534-94-6. Redaktor: Jan Leończuk. Projekt okładki: Mariusz Bryczkowski. Grafiki: Ewa Danuta Stupkiewicz. Adnotacja: *Autorka składa serdeczne podziękowania anonimowym sponsorom, dzięki którym możliwe było wydanie niniejszego tomiku*. Tomik poezji (64 wiersze). # Str. 73: Jan Leończuk. „*Bywa taki dzień*” – *Haliny A. Auron*. [Posłowie]. Czytamy m.in.: *Wiersze Pani Haliny mają swoje tętno, nie zawsze jednakowe, ale dalekie od jakiegokolwiek arytmii, zaznaczając codzienność, nieraz burzliwą i trudną w wyborach. I należy w niej szukać sensów, nawet najmniejszych drobin światła, aby właściwie odczytać przesłanie. Wiersze pozwalają ową ulotność, która być może staje się filarem życia – ocalić, przytulić i poprowadzić ku Zrozumieniu*. # Na ostatniej stronie okładki zdjęcie autorki i krótka notka: *Halina Alfreda Auron – emerytowana nauczycielka, z zamiłowania poetka. Wydała tomik wierszy „Jest w Tobie moja trwoga” (2005). Wiersze jej znalazły gościnę w wielu antologiach i czasopiśmie. Mieszka w Białymstoku*. Także krótka notka o Ewie Danucie Stupkiewicz.

1.06.2012. Urząd Miejski w Wasilkowie (sala konferencyjna), Wasilków, ul. Białostocka 7. Promocja drugiego tomu powieści Antoniego Hukałowicza *Poletko wszystkich świętych* (saga rodu Holańskich, akcja rozgrywa się w Wasilkowie). Spotkanie prowadził Wiesław Dąbrowski, zastępca burmistrza Wasilkowa (odbywało się w ramach Dni Wasilkowa).

7.07.2012. Spotkanie Nauczycielskiego Klubu Literackiego u Doroty Łabanowskiej (Białystok). Spotkanie warsztatowe prowadziła Irena Grabowiecka (prace literackie i plastyczne).

14.07.2012. Spotkanie u Heleny Ostaszewskiej (ur. 20 sierpnia 1922, w tym roku kończy dziewięćdziesiąt lat). Rozmowa na temat jej ostatniego tomiku wierszy *A w wierszu ślad...* (Białystok 2011). Z Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku obecni: Grażyna Cylwik, Irena Grabowiecka, Regina Kantarska-Koper, Robert Panek, Irena Słomińska, Kazimierz Słomiński.

18.07.2012. Jan Migielicz zamieścił na swoim portalu internetowym 2/96/2012 numer „Najprościej”.

19.07.2012. Spotkanie wyjazdowe Nauczycielskiego Klubu Literackiego – Czarna Wieś Kościelna, u artysty kowala Mieczysława Hulewicza (spotkanie warsztatowe prowadziła Irena Grabowiecka).

20.07.2012. Muzeum Rzeźby Alfonsa Karnego. Białystok, ul. Świętojańska 17. Ewa Danuta Stupkiewicz – otwarcie wystawy fotograficznej „Blask przemijania”. Przygotowana kolorowa składanka: *Autorski przewodnik poetycki wystawy fotograficznej Ewy Danuty Stupkiewicz „Blask przemijania”*. Muzeum Rzeźby Alfonsa Karnego, Oddział Muzeum Podlaskiego w Białymstoku. [Jedna złożona kartka formatu A4]. Zawiera reprodukcje zdjęć oraz wiersze: *** *postłuchać ciszy...*; *** *Księżyc / pochłania blask...*; *** *Szary, / mglisty poranek...*; *** *Strzelisty świerk...*; *** *Szum deszczu...*; *** *Pod stopami / dojrzewa / jesień...*; *Przemijanie*; *** *szelest piaszczystych drobin na plaży...*; *** *strojna w ciało gąsienicy...*

„Przegląd Augustowski”. Nr 5 (208). Lipiec 2012. # Str. 13: Józefa Drozdowska. *Czwartki literackie – spotkania w Miejskim Domu Kultury z autorami książek nie tylko poetyckich*. [Zapowiedź spotkań]. # Str. 13: Janina Osewska [tekst i zdjęcia]. *Dlaczego dzieci piszą wiersze?* # Str. 15: Józefa Drozdowska. *Maselnica, masielnica, maślnica, tłuczka...* [Pod nagłówkiem: *Przedmioty z duszą: gawędy etnograficzne. Nie tylko o żelazku, ale i innych przedmiotach z dawien dawna towarzyszących człowiekowi*].

23.07-3.08.2012. Ogólnopolski Plener Artystyczny ZNP OSTRZYCE 2012 (na Kaszubach). Pensjonat agroturystyczny „Ostrzycka Gościna u Maryli”, Ostrzyce, ul. Droga Kaszubska 19 (12 km od Kartuz). Pod patronatem Okręgu Pomorskiego ZNP oraz Nadleśnictwa Kartuzy. Organizacja: Joanna Groth. Z białostockiego NKL w plenerze uczestniczyli i swoje utwory prezentowali: Irena Grabowiecka, Regina Kantarska-Koper. Ponadto uczestniczyli literaci: Maria Aulich (Warszawa), Elżbieta Ciszewska-Wlizła (Gdańsk), Zofia Grabowska-Andrijew (Chodzież), Joanna Groth (Kartuzy), Katarzyna Jeziółkowska (Poznań), Ewa Lachowska-Żarska (Śliwiczki), Mirosława Lickiewicz (Gdańsk-Oliwa), Dorota Lorenowicz (Kraków), Joanna Malcer (Gdańsk), Teresa Pniewska-Lutrzykowska (Sopot), Elżbieta Strzałkowska (Gdynia), Kazimierz Żarski (Śliwiczki). Plastycy: Zdzisława Ciszewska (Gdańsk), Halina Kozak (Warszawa), Teresa Kuźnicka (Warszawa), Barbara Zdanowicz (Ostrołęka). Fotograficy i osoby towarzyszące: Janusz Jeziółkowski (Poznań), Jerzy Karolak (Warszawa), Maria Korybalska (Gdańsk), Teresa Tulo (Warszawa).

5.08.2012. Spotkanie wyjazdowe Nauczycielskiego Klubu Literackiego – Poczopek (ogród leśny „Silvarium”, Nadleśnictwo Krynki). Spotkanie warsztatowe (prowadziła Irena Grabowiecka). Turniej jednego wiersza, temat: *Kamień i słowo*. Jury: Joanna Dawidziuk, Zofia Maria Dembińska, Regina Kantarska-Koper; 4 wiersze; wyróżniony wiersz Marka Dobrowolskiego.

Od sierpnia 2012 w internecie w ramach Podlaskiej Biblioteki Cyfrowej dostępne zbiorki: Irena Słomińska. *W błękitach odnajdziemy się o zmiernych*. Białystok 2001; Irena Słomińska. *Pogranicza*. Białystok 2011; Kazimierz Słomiński. *Będziemy szybciej europieć. Aforyzmy (1997-2000)*. Tomiki wydane były przez Książnicę Podlaską im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku.

„Przegląd Augustowski”. Nr 6 (209). Sierpień 2012. # Str. 13: Józefa Drozdowska. *Czwartki literackie – spotkania w Miejskim Domu Kultury z autorami książek nie tylko poetyckich*. [Zapowiedź spotkań]. # Str. 13: J.D. [J. Drozdowska]. „Halka” w Augustowie. [Koncert Towarzystwa Śpiewu „Halka” z Inowrocławia]. # Str. 15: Józefa Drozdowska. *Kosa, a z nią babka i osetka*. [Pod nagłówkiem: *Przedmioty z duszą: gawędy etnograficzne. Nie tylko o żelazku, ale i innych przedmiotach z dawien dawna towarzyszących człowiekowi*].

„Akant”. Miesięcznik Literacki. [Bydgoszcz]. Nr 8 (190). Str. 34: Krystyna Gudel. *Babcia Rozalia ma ręce pełne szpaków*. [Wiersz].

5.09.2012. Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego (środy literackie). Antoni Hukałowicz (powieść *Poletko wszystkich świętych* – druga część trylogii o Wasilkowie). Prowadził Grzegorz Kowalski.

16.09.2012. Spotkanie Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku. Powakacyjne reminiscencje. Prowadziła Regina Kantarska-Koper. Turniej jednego wiersza, temat: *A mnie jest szkoda lata*; jury: Irena Słomińska, Leonarda Szubda; 3 wiersze, wyróżniony wiersz Reginy Świtoń. Msza święta w kościele p.w. Miłosierdzia Bożego na Białostoczku w pierwszą rocznicę śmierci Eugeniusza Szulborskiego. Kolorowa składanka przygotowana przez rodzinę zmarłego: *Eugeniusz Szulborski (12.08.1938 – 18.09.2011)*. [Jedna złożona kartka formatu A4]. Zawiera zdjęcie, notę o poecie oraz wiersze: *Poeta mówi*; *** *Twoje dłonie – matko...*; *** *Rozhukało się sumienie...*; *Jesteś gałązką oliwną*; *Zmierch*; *** *Zostawiłem za sobą rozmyślenia...*; *** *Myśli rozptywiają się w przestrzeni...*; *Po wszystkim*; *Starzec*.

19.09.2012. Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego (środy literackie). Leonarda Szubzda – promocja audiobooka *Wierszomalowanie Leonardy Szubzdy*; na dwóch płytach: 1) *Wywiad telewizyjny: z Leonardą Szubzdą rozmawia Jan Leończuk*; 2) *Audiobook z poezją wybraną. Wiersze czyta Leonarda Szubzda*. Wydawca audiobooka: Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku oraz Stowarzyszenie Szukamy Polski. Spotkanie prowadzili: Bożena Bednarek (Stowarzyszenie Szukamy Polski), Jan Leończuk (Książnica Podlaska). # Filmy zrealizowane przez Telewizję Białystok (lokalna telewizja kablowa), dostępne na jej stronie internetowej: *Środa literacka 19 września* [zapowiedź spotkania] (wpisane 12.09.2012), 1,19 min.; *Spotkanie z Leonardą Szubzdą* (wpisane 27.09.2012), 6,15 min.

20.09.2012. Augustów, Miejski Dom Kultury (Rynek Zygmunta Augusta 9). Czwartek literacki poświęcony twórczości dziecięcej (przygotowanie i prowadzenie: Józefa Drozdowska). Goście spotkania: autorzy wydanej pod koniec 2011 r. książki *Wiersze z Tartacznej* – uczniowie i absolwenci Szkoły Podstawowej nr 6 im. Armii Krajowej w Augustowie wraz z jej redaktorkami Janiną Osewską i Małgorzatą Kleczkowską oraz autorzy prac plastycznych o tematyce kociej – uczniowie Zespołu Szkół Specjalnych w Augustowie (spotkanie poetyckie połączone z wernisażem „kociej” wystawy).

22.09.2012. Spotkanie warsztatowe Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku, poświęcone poezji (prowadziła Irena Grabowiecka).

29.09.2012. XIII Diecezjalne Spotkanie Środowisk Twórczych, pod patronatem biskupa ełckiego Jerzego Mazura i burmistrza Pisza Jana Alickiego odbyło się w Piszcu i w Leśniczówce Pranie. Uczestniczyły m. in.: Irena Batura, Józefa Drozdowska, Joanna Pisarska. W Leśniczówce Pranie ogłoszone zostały wyniki IX Konkursu Poetyckiego „Martyrii” (miesięcznik Diecezji Ełckiej); jury pod przewodnictwem Wojciecha Kassa – poety i dyrektora muzeum w Praniu. Drugą nagrodę otrzymała Joanna Pisarska z Białegostoku.

29.09.2012. Moniecki Ośrodek Kultury. Mońki, ul. Białostocka 25. Podsumowanie IX Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Melanii Burzyńskiej. • Wydawnictwo pokonkursowe: *IX Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Melanii Burzyńskiej pn. „Poezja życiem pisana”*. Moniecki Ośrodek Kultury w Mońkach, Mońki 2012. Stron 20 (bez numeracji); 29,6 x 10,5 cm. Redakcja i korekta: Katarzyna Namojlik. # Str. [3]: *Wyciąg z Protokołu posiedzenia Jury...* Jury: Barbara Pacholska (animator kultury), Katarzyna Nazaruk (polonistka LO w Mońkach), Bożena Kupińska (dyrektor GOK w Jaświłach), Katarzyna Namojlik (instruktor Monieckiego Ośrodka Kultury; sekretarz jury). Rozpatrzono 21 zestawów wierszy. Przyznano trzy nagrody, trzy wyróżnienia oraz dwie równorzędne Nagrody Specjalne Wójta Gminy Jaświły. Pierwszą nagrodę uzyskała Grażyna Cylwik (Białystok), wyróżnienie m. in. Krystyna Gudel (Suchowola). # Str. [5]: Barbara Pacholska. *Czasie, zwykły czasie... gdybyś nie był ślepy...* [Wstęp]. # Str. [7-9]: Grażyna Cylwik. *Babcia Paulina; Ziemia; Wiatrak*. [Wiersze]. Str. [16]: Krystyna Gudel. *Tam już nikt nie mieszka*. [Wiersz].

„Drogi Miłosierdzia”. Miesięcznik Archidiecezji Białostockiej. Nr 9 (25). Wrzesień 2012. Str. 35: Antoni Hukałowicz. *Olekszyna rok 1940; Wierzba; Kościany dziadek*. [Wiersze; pod nagłówkiem: *W blasku piękna. Wiersze Antoniego Hukałowicza*]. Krótka notka o autorze.

„Przegląd Augustowski”. Nr 7 (210). Wrzesień 2012. # Str. 8-9: Józefa Drozdowska [tekst i zdjęcia]. *Pozwólcie rosnąć tej sośnie!* # Str. 13: Józefa Drozdowska [tekst i zdjęcia]. *Czwartki literackie – spotkania w Miejskim Domu Kultury z autorami książek nie tylko poetyckich*. [Zapowiedź wrześniowego spotkania: *Wiersze z Tartacznej*, pisane przez dzieci ze Szkoły Podstawowej nr 6 im. Armii Krajowej w Augustowie]. # Str. 15: Józefa Drozdowska. *Patefon*. [Pod nagłówkiem: *Przedmioty z duszą: gawędy etnograficzne. Nie tylko o żelazku, ale i innych przedmiotach z dawien dawna towarzyszących człowiekowi*].

„Barwy Roku”. Kwartalnik. Wydanie Specjalne. Nr 3/2012. *Już poznaję literki*. Wydawca: Wydawnictwo IMPULS s.c., Białystok, ul. Krakowska 5. Ewa Danuta Stupkiewicz – opracowanie, tekst.

„RAZEM ŁATWIEJ – integracja społeczno-zawodowa mieszkańców powiatu augustowskiego”. Biuletyn Informacyjny. Nr 3 (11). Wrzesień 2012. Str. 13: Józefa Drozdowska. *Konie pławiące się w Biebrzy; Cerowanie biedy; Czuwanie nad jeziorem Paniewo; Turówka; Rozmowa; Spotkanie*. [Wiersze].

Środy Literackie Książnicy Podlaskiej. Rok Czwarty. Wrzesień 2011 – czerwiec 2012. Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku, Białystok 2012. Stron 148; 20,9 x 14,7 cm; ISSN 2082-0410. Redakcja: Jan Leończuk, Joanna Koroniecka, Daniel Znamierowski. Nakład: 300 egz. # Str. 5: Jan Leończuk. *Wstęp*. # Str. 6-145: materiały z 35 spotkań [zdjęcie, krótka notka, wybrane utwory, krótki szkic o autorze]. ## Str. 38-41: Spotkanie 9. 2 listopada 2011. Zaduszki literackie. Wspomnienia zmarłych twórców. [Prowadził Jan Leończuk]. Tu m.in. wymienione nazwiska: Anatol Batura (1921-1989), Krystyna Przekop (1940-2004), Eugeniusz Szulborski (1938-2011), Teresa Wołyniec (1945-2006), Zbigniew Waydyk (1924-2003). # Str. 86-89. Spotkanie 21. 15 lutego 2012. Prezentacja antologii NKL w Białymstoku [*Na skrzydłach słów* (2009), *Opetani wierszem* (2010), *Czarowny świat wierszy* (2011)]: Irena Grabowiecka, Joanna Pisarska, Regina Kantarska-Koper. Wiersze: Krystyna Gudel. *Pierwszy deszcz*; Barbara Lachowicz. *Ja i jabłonie*; Roman Kowalewicz. *** *Puszcza / Jest księgą...* Krótki szkic Joanny Koronieckiej. # Str. 130-133. Spotkanie 32. 23 maja 2012. Robert Panek. *Spojrzenie; Motyl; Hajnowska Puszcza*. [Wiersze]. Krótki szkic Dominika Sołowaja.

Wybór wierszy XX Konkursu Poezji Religijnej im. ks. prof. Józefa Tischnera. Oddział Związku Podhalan w Ludźmierzu Sanktuarium Matki Bożej Ludźmierskiej, Ludźmierz 2012. Stron 192; 20,8 x 14,8 cm; ISBN 978-83-933314-1-3. Redakcja: Ewa Iwulska. Wydawnictwo pokonkursowe. # Str. 21: Grażyna Cylwik. *Matka*. [Wiersz]. # Str. 30: Marek Dobrowolski. *** *i / szczeniaku bywało...* [Wiersz]. # Str. 83: Edward Lipiński. *Pokora*. [Wiersz]. # Str. 126: Joanna Pisarska. *Ptaki nad wodą życia; Proszę cię*. [Wiersze]. # Str. 171-172: Regina Świtoń. *** *sam niewiele już mógł...*; *** *szukałam Ciebie Boże...* [Wiersze].

II LO 1992-2012. Dwadzieścia lat istnienia szkoły. II Liceum Ogólnokształcące w Augustowie im. Polonii i Polaków na świecie. b.m.w, b.r.w. [Augustów, wrzesień 2012]. ISBN 978-83-93-57-82-0-7. Redakcja, wybór i opracowanie tekstów: Bożena Daniluk, Emilia Faszczka, Danuta Fiećko, Grzegorz Gołaszewski, Maria Kisielewska. # Str.136: Na kolorowych zdjęciach Józefa Drozdowska i Janina Osewska podczas kwesty na rzecz ratowania zabytkowych nagrobków na cmentarzu augustowskim. # Str. 183-184: Józefa Drozdowska. *O szkole, którą widzę z okna mojego domu...* [Zdjęcie; tekst podpisany: Józefa Drozdowska, poetka, miłośniczka i znawczyni Ziemi Augustowskiej].

Marek Dobrowolski. *To nie my wymyśliliśmy raj*. Wydawnictwo ANDARE, Warszawa 2012. Stron 72; 21 x 13 cm; ISBN 978-83-931689-1-0. Redakcja: Irena i Kazimierz Słomińscy. Zdjęcia: Marek Dobrowolski. Tomik poezji (58 wierszy w dwóch rozdziałach: *To nie ja wymyśliłem wiosnę; Cisza nie lubi jak się ją poprawia*). # Na str. 3 dedykacja: Eugeniuszowi Szulborskiemu Poecie Wielkiego Serca. # Na ostatniej stronie okładki zdjęcie i nota o autorze: Marek Dobrowolski – białostoczanin, ekonomista i poeta. Amatorsko zajmuje się również rzeźbą i fotografią. Swoje życiowe doświadczenia i przemyślenia zawiera w wierszach oraz w tekstach satyrycznych i krótkich formach literackich (fraszki, aforyzmy, limeryki). Członek Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku. Pisze „od zawsze”, jednak pierwsze publikacje pojawiły się w wydawnictwach zbiorowych dopiero w 2008 roku. Laureat I nagrody w Czerwcowym Konkursie Jednego Wiersza, Łomża 2010. „*To nie my wymyśliliśmy raj*” jest drugim autorskim tomikiem wierszy, który ukazuje się dokładnie po dwóch latach od debiutanckiego „*Między niebem ziemią a mną*” (2010).

„Martyria”. Miesięcznik Diecezji Ełckiej. [Ełk]. Nr 10 (257). Październik 2012. # Str. 17: Józefa Drozdowska. *Maryjne kapliczki przydrożne*. [Pod nagłówkiem: *Październik miesiącem Maryi*; na zdjęciach kapliczka z Rutek Nowych oraz kapliczka nadrzewna z Jeziorek]. # Str. 19: Joanna Pisarska. *Poranek dzień szósty*. [Wiersz; pod nagłówkiem: *IX Konkurs Poetycki „Martyrii”*; II nagroda].

Strona internetowa: **eCytaty.pl** [ecytaty.pl/autorzy/k/regina-kantarska-koper/]. Regina Kantarska-Koper. Zdjęcie i nota o autorce. 28 aforyzmów.

Strona internetowa Jana Migielicza: **Migielicz.pl portal satyryczny**. [Wpisane:] 2.07.2012. *Nagrodzone utwory w VII Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim na wiersz „Euro 2012” – „Epizod z flagą, piłką i szalikami” Józefa Drozdowska II miejsce*. [Tekst wiersza J. Drozdowskiej *Epizod z flagą, piłką i szalikami*]. # 18.07.2012. *Kwartalnik literacki „Najprościej” nr 2-96-2012*. # 13.08.2012. *Rozstrzygnięcie VI edycji konkursu „Suwalskie limeryki latem”*. [Wyróżniony limeryk Apoloniusza Ciołkiewicza]. # 6.09.2012. *Limeryk Apoloniusza Bogumiła Ciołkiewicza wyróżniony w VI edycji konkursu „Suwalskie limeryki latem”*. [NA ULICY // Zawodnik sumo na brzuchu / leżał w Sejnach w śnieżnym puchu, / ale że ważył sporo, / dlatego gapiów kilkoro / podnosiło go tylko na duchu.]. # 12.09.2012. *Fraszki Apoloniusza Ciołkiewicza*. [10 fraszek wyróżnionych w konkursie w Chlewiskach].

„Gazeta Kulturalna”. Miesięcznik. [Zelów]. Nr 7 (191). Lipiec 2012. Str. 3-4: Teresa Nietyksza. *Wiesław Malicki – zawsze poeta (1935-2011)*. Numer dostępny w internecie w wersji pdf.

PNADTO W REGIONIE:

20.09.2012. Polski Związek Niewidomych Okręg Podlaski (Białystok, ul. Biała 13/33). Promocja audiobooka Jana Leończuka *Mały okruch, wiersz zaledwie*. Na dwóch płytach: 1) *Spotkanie z Janem Leończukiem*. [Film]; 2) *Audiobook z poezją wybraną Jana Leończuka. Wiersze czyta Jan Leończuk*. Białystok 2012. [Wydawca: Stowarzyszenie Szukamy Polski]. *Zrealizowano przy wsparciu finansowym Urzędu Marszałkowskiego Województwa Podlaskiego*.

Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku. Środy literackie. Spotkania autorskie (wrzesień 2012). Wypożyczalnia Główna, ul. Kilińskiego 11. # 5.09.2012. Antoni Hukałowicz (powieść *Poletko wszystkich świętych* – druga część trylogii o Wasilkowie). # 12.09.2012. Stanisław Poczobut-Odlanicki. # 19.09.2012. Leonarda Szubzda (promocja audiobooka *Wierszomalowanie Leonardy Szubzdy*). # 26.09.2012. Janusz Mielczarek.

K. S.

KSIĄŻKI

Janusz Andrzejczak. *Łagodnia*. ARCANA Sp. z o.o., Kraków 2012. Stron 64; 20,4 x 14,3 cm; ISBN 978-83-60940-62-4. Projekt okładki: Eta Zaręba. Tomik poezji (49 wierszy). # Na skrzydełku okładki czterowiersz: *Gdy ja wszedłem, do tej swojej puszczy, / w ten swój las, który na mnie czekał. / Z sosny płatek bursztynem się złuszczył. / Coś mnie tchnęło. To... boża powieka*. # Na ostatniej stronie okładki nota o autorze: *Janusz Andrzejczak – urodził się w 1956 roku w Toruniu. Absolwent Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Nauczyciel, pedagog. Ponad 20 lat spędził na wsi. Obecnie mieszka i pracuje w rodzinnym mieście. Autor tomiku poetyckiego „Takijeden”. Wiersze, opowiadania, eseje i nieduże formy prozatorskie publikował w czasopiśmie literackich i w prasie. Prozą i wierszem opisuje to, co mieści się w tradycyjnym odczuciu piękna i dobra. Tych wartości poszukuje głównie w przyrodzie. Jej piękno stara się ukazać również w malarstwie i grafice. # Szereg wierszy poświęconych jest przyrodzie Podlasia (Czerwone Bagno; Puszcza Knyszyńska; Wierzby nad Biebrzą i in.).*

Maria Celej. *Pozwólcie tańczyć*. [© Copyright by Maria Marianna Celej], Warszawa 2012. Stron 60; 20,5 x 14,5 cm; ISBN 978-83-935383-0-0. Redakcja tomiku: Maria Celej. Projekt okładki i ilustracje: Czesław Woś. *Wydano nakładem autorki przy wsparciu finansowym ZNP w Warszawie*. Tomik poezji (44 wiersze). # Str. 55-58: Andrzej Zaniewski. *Człowiek na tle słów*. [Posłowie]. # Na ostatniej stronie okładki zdjęcie autorki i notka: *Maria Marianna Celej ukończyła geografię na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi UMCS w Lublinie. Debiutowała we wkładce literackiej „Głosu Nauczycielskiego”. Jest autorką tomików poetyckich: „Z modlitwą w tle” (1995); „Tobie wystarczą iskry” (1997), „Pejzaże słów” (2010). Publikowała w prasie literackiej oraz w licznych antologiach. Jest laureatką wielu konkursów literackich. Píše także fraszki i aforyzmy.*

Elżbieta Grabosz. *W tyglu Stańczyka. Fraszki*. Wydawnictwo Komograf, Ożarów Mazowiecki, b.r.w. [2012]. Stron 184; 20 x 12,8 cm; ISBN 978-83-62769-33-9. Projekt okładki: Piotr Szałkowski. Ilustracje: Dariusz Stelmach. # Str. 5: *Od autora. Napisać fraszkę wcale nie jest trudno*. [Wstęp]. # Na str. 9-152 fraszki w czterech podstawowych działach: *Fraszki o fraszkach; Nasze życie; Bywa i tak; Fraszki z kurortu*. # Na str. 153-181 tzw. *Dedykacje* czyli reprodukcje stron tytułowych egzemplarzy tomików różnych autorów, dedykowanych Elżbiecie Grabosz. Tu m. in. na str. 167 reprodukcja strony tytułowej zbioru Kazimierza Słomińskiego *Będziemy szybciej europieć. Aforyzmy (1997-2000)*. # Na str. 182-183 nota o autorce: *Elżbieta Grabosz. Urodzona w Ostrowcu Świętokrzyskim; aforystka, satyryczka, fraszkopisarka; pedagog; współpracowała z redakcjami: „Słowa Ludu”, „Tygodnika Powszechnego”, „Tygodnika Demokratycznego”, „Szpilek”, „Przekroju”, „Ekspresu Wieczornego”, „Radostowej”; debiut literacki 1974 w prasie kieleckiej i na antenie Polskiego Radia; należała do Klubu Literackiego ZNP w Kielcach, Unii Pisarzy Medyków w Warszawie, Grupy Poetyckiej „Łuczywo” w Radomiu; członkini Związku Literatów Polskich; od 1999 związana z Uniwersytetem Warszawskim Trzeciego Wieku; laureatka licznych konkursów literackich, m. in. Nagroda za fragmenty dziennika pt. „Wobec własnego czasu”; autorka fraszek „Gorzki miód”, aforyzmów „Słodkie szyderstwa” (...) arkuszy poetyckich „Buzie na luzie”, „Już luz”, „Aforyzmy i fraszki” oraz książek dla dzieci i dorosłych; twórczość publikowała w licznych antologiach (...). # Na ostatniej stronie okładki zdjęcie i krótka nota o autorce.*

Mirosław Kossakowski. *Opowieść Wissą płynąca*. [© Copyright by Mirosław Kossakowski], b.m.w, b.r.w. [Warszawa 2011]. Stron 238; 20,4 x 14 cm; ISBN 978-83-912864-9-4. Zdjęcia: Anna Kossakowska. # Na str. 3: *Podziękowania: Serdecznie dziękuję sponsorowi – Fundacji Banku Gospodarki Żywnościowej za życzliwe wsparcie, które wydatnie przyczyniło się do wydania niniejszej książki. (...)*. # Str. 5-8: Andrzej Zaniewski. *Niekończące się fale pamięci*. [Wstęp]. # Na ostatniej stronie okładki zdjęcie i nota o autorze: *Mirosław Kossakowski. Urodził się w 1943 roku na Podlasiu, ziemi Wizneńskiej, gdzie od wielu pokoleń zamieszkiwali jego przodkowie. Tam też dojrzały jego dzieciństwo i młodzieńcze plany oraz marzenia. Ukończył Państwowe Liceum Teatralne w Warszawie ze specjalnością technik elektryk, oświetleniowiec sceny. Następnie Studium Nauczycielskie (filologia rosyjska), Uniwersytet Śląski (wychowanie techniczne) i Politechnikę Warszawską (wydział elektryczny). Przez ponad 40-ci lat uczył i wychowywał młodzież w szkołach technicznych w Mińsku Mazowieckim i w Warszawie. W ramach zajęć pozalekcyjnych rozbudzał w uczniach zainteresowanie teatrem, filmem, estradą i turystyką, oraz wychowaniem przez pracę. Obecnie, już na emeryturze, czynnie uczestniczy jako wolontariusz w edukacji młodzieży niedosłyszącej. Opracował monografię swojej wspaniałej szkoły Państwowego Liceum Techniki Teatralnej „PLTT szkoła osobliwa” (1999). Wydał tomiki wierszy: „Drogi i ścieżki” (2001), „Kształty chwil” (2003), „Na wyspach nadziei” (2004), „Zaczekaj życie” (2005), „Muzyka życia” (2006), „Echo serca” (2008), „Łódź samotnego żeglarza” (2009) oraz prozę „Egzamin ze wspomnień” (2009). Laureat konkursów poetyckich, literackich, recytatorskich i estradowych (kabaretu „Nie deptać”). W 2008 otrzymał honorowe wyróżnienie „Aktywny dla Seniorów Ochoty”. Powieść „Opowieść Wissą płynąca” jest kontynuacją dziejów bohatera „Egzaminu ze wspomnień”.*

Stefan Kudelko. *Przez różane pola*. Nauczycielski Klub Literacki, Katowice 2012. Stron 94; 20,6 x 13 cm; ISBN 978-83-88937-88-0. Wybór utworów i redakcja: Stefan Kudelko. Projekt okładki i ilustracje: Marek Waclaw Judycki. Tomik poezji (77 wierszy). # Str. 1-3 [strona tytułowa i kolejna poza numeracją]: Eugeniusz Rychlicki. *Wstęp*. # Na ostatniej stronie okładki zdjęcie autora i notka: *Stefan Kudelko urodził się w Chelmie. Po ukończeniu Gimnazjum i Liceum im. Stefana Czarnieckiego podjął studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim a następnie na Uniwersytecie Śląskim. Studiował także pedagogikę w Krakowie oraz w systemie podyplomowym pedagogikę resocjalizacyjną. Pracę nauczycielską podjął w Krupskim Młynie (pow. tarnogórski). Interesuje go przede wszystkim liryka, ale także poetycki żart. Wydał tomik pt. „Symfonie z szeptu” [1999]. Jego utwory znajdują się w almanachach i antologiach wydanych przez Nauczycielski Klub Literacki w Katowicach, którego jest członkiem oraz w licznych wydawnictwach pokonkursowych.*

Tadeusz Józef Maryniak. *Aforyzmy i powiedzenia. Tom 7*. Wydawca TAMAR Tadeusz Józef Maryniak, Warszawa 2012. Biblioteka Tamara Tom 33. Stron 156; 19,4 x 11,9 cm; ISBN 978-83-930124-5-9. Projekt okładki: Piotr Szalkowski. Dedykacja: *Tomik poświęcam pamięci Zbyszka Jerzyny*. # Str. 5: zdjęcie autora (1993 r.). # Str. 7-10: Zbigniew Jerzyna. *Wszystko jest ważne i godne zamyślenia*. [Wstęp; datowany 7.01.2010]. # Na ostatniej stronie okładki zdjęcie i nota o autorze.

Teresa Nietyksza. *Małe opowiadania*. Wydawnictwo Instytut Śląski Sp. z o.o., Opole 2011. Stron 120; 20,4 x 12,5 cm; ISBN 978-83-62105-90-8. Projekt okładki: Martyna Sobolewska. Na str. 4 okładki autorka nad oceanem w Miami Beach (fot.: Jadwiga Kwiatkowska). Na str. 5 dedykacja: *Moim Najbliższym*. Tom opowiadań; zawiera następujące teksty: *Romeo i Julia; Spotkanie; Złota orchidea; Kraina Wolności; Wisła na Florydzie; Bela; Kobiety i mężczyźni; It's never too late to learn; Mary; Delfin; John i Mary; Zapalenie płuc; „Oko”; Metafizyka i filozofia; Dom mojego ojca; Jędrak; Wrócić do Itaki; Laparoscopia; Kartki świąteczne; Przejsz do legendy; Witrektomia*. # Na ostatniej stronie okładki zdjęcie autorki i nota: *Teresa Nietyksza (z domu Szwed) urodziła się na Podlasiu. Lata młodości spędziła w Kaliskiem. Szkoła średnia to Liceum im. Anny Jagiellonki w Kaliszu. Studiowała w Krakowie (1956-1960). Od 1960 roku mieszka w Opolu. Debiutowała w 1959 r. Zebrane opowiadania powstawały w dużej rozpiętości czasowej. Niektóre z nich były drukowane już w 1988 r., 1993 i później. Bywa, że stanowią rodzaj powiastki filozoficznej, a czasem notatki z pobytu w Ameryce lub są wędrówką w głąb czasu, aż do krainy dzieciństwa. To pierwsza książka zwarta prozy tej Autorki. Do tej pory wydała zbiory poetyckie: „Cień z oczu” (1991), „Powietrzem i miłością” (2004), „Podróż Penelopy” (2005), „Sonety opolskie” (2006), „Lustro i czas” (2009). Jest członkiem Związku Literatów Polskich, Nauczycielskiego Klubu Literackiego przy Zarządzie Okręgu Opolskiego ZNP, Stowarzyszenia Promocji Sztuki Łyżka Mleka, jak też Towarzystwa Przyjaciół Krzemieńca i Ziemi Wołyńsko-Podolskiej oraz Stowarzyszenia Przyjaciół Szkoły Dwojga Imion Anny Jagiellonki i Mikołaja Kopernika w Kaliszu.*

Tatiana Olejnikowa. *Гадаю по ладони женской. Wróżę z dłoni kobiecej*. Wybór i przekład Teresa Nietyksza. Wydano staraniem Stowarzyszenia Współpracy Polska – Wschód Oddział Wojewódzki w Opolu oraz Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Emanuela Smółki w Opolu, Opole 2012. Stron 48; 19,5 x 12,6 cm; ISBN 978-83-87334-44-4; ISBN 978-83-88146-64-0. Projekt okładki: Martyna Sobolewska. Dwujęzyczny tomik poezji – 16 wierszy w rosyjskim oryginale oraz w przekładzie na język polski. Adnotacja: *Tomik ten jest rezultatem spotkań poetyckich (w ramach Najazdu Poetów na Zamek Piastów Śląskich w Brzegu w 2010 r.), w których uczestniczyli również poeci rosyjscy z Okręgu Białgorodzkiego, m. in. Tatiana Olejnikowa*. # Str. 40-45: *Tatiana Olejnikowa. Bez poezji, jak widać, życie moje nie było możliwe. [Без поэзии, видимо, мне прожить было нельзя]*. [Postówie].

Emilia Tesz. *Wiersze dla Ciebie*. Wydawca: Towarzystwo Przyjaciół Dzieci Oddział Powiatowy w Tomaszowie Mazowieckim, Tomaszów Mazowiecki 2012. Stron 40 [bez numeracji]; 23,5 x 16,5 cm [podłużna]; ISBN 978-83-935059-0-6. Redakcja: Emilia Tesz, Agnieszka Podwysocka. Skład i opracowanie graficzne: Agencja Wydawnicza PAJ-Press. # *Tomik współfinansowany ze środków*

Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Łodzi. # W tomiku wykorzystano prace plastyczne, które wpłynęły na konkurs „Cztery pory roku” oraz ilustracje do wierszy Emilii Tesz, wykonane przez dzieci pod kierunkiem nauczycieli. [Kolorowe ilustracje]. # Zbiorek wierszy dla dzieci (20 wierszy). Niektóre z wierszy zaopatrzone w pointy, na przykład: *Jeśli chcesz znać odpowiedzi na te, i inne pytania, / musisz słuchać starszych i kochać sztukę czytania.* – str. [4]; *Jesteśmy w Europie, a z tego wynika / konieczność nauki obcego języka.* – str. [5]; *Więc, choć nie zawsze smaczne, / lekarstwo pij córeczko, / bo zdrowie jest jak słońce, / a ty jesteś moje Słoneczko.* – str. [10]; *Jest strumyk, dalej płynie rzeka / – i ty wyrośniesz na Człowieka. / Popatrz na gładkie lustro wody: / Widzisz? Jesteś częścią przyrody.* – str. [40].

Mieczysław Wiśniowski. *Łacina i dziewczyna. Aforyzmy i eseje.* Domus editorialis LUX ET LEX, Białystok 2012. Stron 108; 23,7 x 16,5 cm; ISBN 978-83-928067-4-5. # Str. 5-19: *Poeta Nazo (43 p.n.e. – 17 n.e.).* [Wstęp]. # Str. 20-98: Tzw. *Aforyzmy: słowa, wyrażenia, cytaty, pojęcia* – z komentarzami (razem 183 krótkie szkice). # Str. 99-101: *Aneks – o łacinie.* # Na ostatniej stronie okładki zdjęcie autora i nota: *Dr Mieczysław Wiśniowski, pracownik naukowo-dydaktyczny Uniwersytetu w Białymstoku (Universitas Bialostocensis), wykładowca i entuzjasta łaciny oraz historii literatury klasycznej; zainteresowania naukowe: historiografia rzymska, liryka łacińska. Praca doktorska (1985) – to studium łacińskiej historiografii epoki późnego cesarstwa, IV wieku n.e. Większe opus, nad którym pracuje – to obraz miłości w twórczości Owidusza. Jak mniema, jest prawdopodobne, że błogostawieni będą mówić w niebie po łacinie: beatos in caelo Latine locutores probabile.*

Justyna Worowska Wysocka. *Akwarele.* Komentarz poetycki Jan Leończuk. Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego, Białystok 2012. Stron 60 (bez numeracji); 21,1 x 14,5 cm; ISBN 978-83-6368-89-3. Redakcja: Daniel Znamierowski. Zawiera 22 kolorowe reprodukcje akwarel Justyny Worowskiej Wysockiej oraz 20 wierszy Jana Leończuka. # Na str. [59] krótkie posłowie Jana Leończuka. # Na ostatniej stronie okładki nota: *Justyna Worowska Wysocka. Urodziła się w 1972 roku w Białymstoku. Ukończyła Liceum Sztuk Plastycznych w Supraślu. Absolwentka Wydziału Sztuk Pięknych UMK w Toruniu. Mieszka i pracuje w Białymstoku. Malarka-kolorystka, tworzy w różnych technikach: akwarela, olej, pastel i gouache. Tematem jej prac są pejzaże, kwiaty, martwe natury, akty i abstrakcje. Autorka malowideł ściennych o tematyce świeckiej i sakralnej. Jej obrazy znajdują się w zbiorach prywatnych w kraju i za granicą. (...).*

Kazimierz Żarski. *Listy do Emily.* Wydawnictwo: HVAC Project, b.m.w., b.r.w. [Śliwiczki 2012]. Stron 36 (bez numeracji); 24,8 x 19,7 cm; ISBN 978-83-929422-3-8. © for polish translation and poems: Kazimierz Żarski. Konsultacja i posłowie: Leszek Żuliński. Redakcja techniczna i fotografie: Kazimierz Żarski. Układ graficzny i ilustracje: Ewa „Kropka” Lachowska. # Tomik poezji: 15 wierszy Emily Dickinson (1830-1886) w wersji oryginalnej oraz w przekładzie Kazimierza Żarskiego, ponadto przy każdym z nich wiersz (komentarz poetycki – list do Emily) autorstwa Kazimierza Żarskiego. # Str. [3]: Kazimierz Żarski. *Kilka uwag natury technicznej.* [Wstęp]. # Str. [35]: Leszek Żuliński. *Emily i Kazimierz.* [Posłowie]. Czytamy m. in.: *Jak miło patrzeć na ten kolejny sukces Emily Dickinson – poetki, która za życia opublikowała tylko siedem wierszy; pierwszy ich zbiór ukazał się mocno przeredagowany ze względu na „niezrozumiałą” poetykę Emily, a całość jej spuścizny ujrzała światło dzienne dopiero w 69 lat od śmierci autorki. (...). Jednak ta książka nie może być traktowana wyłącznie jako kolejny przekład poetycki Dickinson. (...) Kazimierz Żarski wszedł w dialog ze swą ukochaną poetką. Do każdego przełożonego wiersza napisał swoje alter opus – odbija się od tekstu oryginalnego ze świata własnych przeżyć, skojarzeń, doznań i dopisuje didaskalia do tekstów, w których odkrył ważne dla siebie impulsy.*

K. S.

S t a n i s ł a w D ą b r o w s k i

EUREKA MANI

**Darwin był durniem
bo się przyznał
że od małp pochodzimy**

**Archimedes był durniem
przełała się wanna pod naporem ciała
a on z tego powodu
latał po ulicy goły**

**a czy do końca wiedział co robi
Newton
pod jabłonią
owocującą natłokiem informacji**

**Stachura dookreślił
miejsce kropki (nad ypsilonem)
a Braille wynalazł dla niej
praktyczne zastosowanie
albo chronologicznie odwrotnie**

**ktoś wynalazł żarówkę
a ktoś odkrył trudnotopliwość wolframu**

**kształt torusa
ma największa maszyna świata
zderzacz hadronów**

**a pod Alpami
Mańka esemesem w relacji
z wakacji stwierdziła
zauważyłam
że jak dałam niurka do wód
to poszli bulbońki
spomiędzy moich boskich nóg**

S t a n i s ł a w D ą b r o w s k i
